

30 dni
Nr 6 (86) 9 zł
LISTOPAD / GRUDZIEŃ
ROK 2009
DWA MIESIĄCE
W tym 7% VAT
INDEX 347566 ISSN 1506-6487

2x 30 dni

GDAŃSK • Sopot • Gdynia • Pomorze

Antoni
Abraham
**TWARDY
KASZUBA**



Kilka zdjęć Był sobie Gdańsk

GDAŃSKI PROJEKT WODNO-ŚCIEKOWY

Gdańska Infrastruktura Wodociągowo-Kanalizacyjna Sp. z o.o.



Gdański projekt
wodno-ściekowy

Dla zachowania dorobku kultury materialnej Gdańska
ŁĄCZYMY TRADYCJĘ Z NOWOCZESNOŚCIĄ



W ramach Gdańskiego projektu
wodno-ściekowego zabezpieczamy
zabytkowe elementy infrastruktury
wodno-kanalizacyjnej.



30 dni LISTY

Kościół pozostał na obrazie

Szanowna Redakcjo,
W numerze 4-5/2009 „30 Dni” Paweł Huelle opisał historię ulicy Trawki we Wrzeszczu, w tym los barbarzyńsko zniszczonego cmentarza wraz ze stojącym opodal kościółkiem. Uprzejmie donoszę Redakcji, że o ile stary cmentarz został unicestwiony, o tyle brętowski kościół żyje i żyć będzie.

Człowiekiem, który, jak pisze Paweł Huelle, „sam zebrał walące się na ulicy szczątki różnych osób i zmusił – prośbą i groźbą – jednego z księży do ich chrześcijańskiego pochówku z modlitwą”, był artysta malarz, portrecista i pejzażysta, malarz starego Gdańska Maciej Kwieciński, mój brat. Przedtem, nie wiedząc jeszcze o tym, jaki los czeka kościół, namalował go w zimowej scenarii: na pierwszym planie śnieg pokrywa zdewastowane resztki nagrobków, gęsto rozgałęzione cmentarne drzewa niosą na sobie wszystkie barwy zachodzącego, zimowego słońca. W tle, między nimi, stoi pokryty śnieżną czapą stary brętowski kościół.

Olejny obraz ma niewielkie rozmiary, ale właśnie w ten sposób kościół, chociaż w takiej formie, istnieje nadal, mimo jego fizycznej likwidacji.

Pozdrawiam Redakcję, życząc wszystkim Państwu dużo zdrowia i chęci do pracy – Państwa praca jest, myślę, gdańszczanom bardzo, bardzo potrzebna.

Życzę spokojnych świąt Bożego Narodzenia i oby Nowy Rok był lepszy od starego.

Piotr Kwieciński,
Gdańsk-Oliwa



FOTO: MAREK ADAMKOWICZ

Zamorskie inspiracje

Szwedzką Karlskronę mamy na wyciągnięcie ręki. Wystarczy w Gdyni wsiąść na prom, by po dziesięciu godzinach rejsu postawić stopę na szwedzkiej ziemi. Naprawdę warto. Podróż w tamte strony nie tylko pozwala spojrzeć na Pomorze z innej perspektywy, ale też jest niezwykle inspirująca.

Przykład pierwszy z brzegu: na targu rybnym w Karlskronie, gdzie niegdyś sprzedawano świeże dorsze, śledzie i łądry, stoi pomnik rybaczek zachwalającej towar. Naturalnej wielkości posąg

„Fiskargumman”, którego autorem jest Erik Höglund (1932-1998), przypomina o czasach, gdy starsze kobiety z okolicznych wysp przybywały wiosłowymi łodziami z rybą do miasta.

Patrząc na pomnik trudno oprzeć się wrażeniu, że równie dobrze wyglądałby on w przestrzeni Gdańska. Targ Rybny czy Rybackie Pobrzeże to przecież odpowiednik karlskronskiego Fisktorget, miejsca handlu płodami morza. Dzisiaj nad Motławą wprowadzie nikt już świeżych ryb nie sprzedaje, niemniej wydaje się, że warto sięgnąć do przeszłości, chociażby

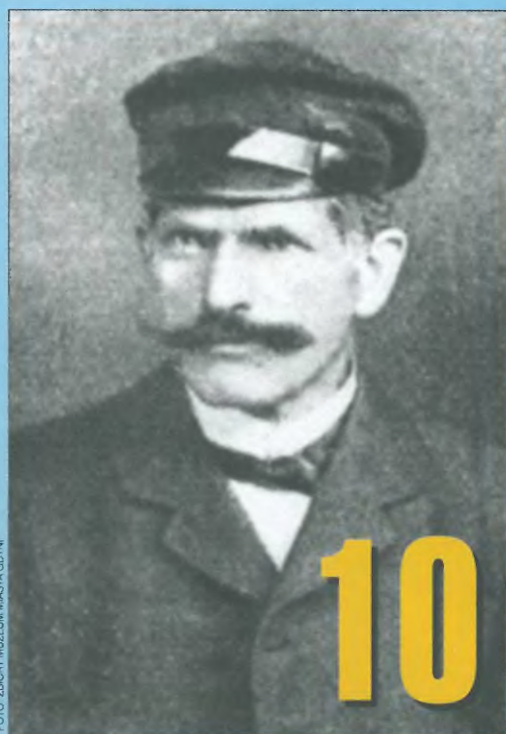
poprzez postawienie pomniczka gdańskiej przekupki w jej charakterystycznym stroju.

Ze znalezieniem odpowiedniej modelki nie ma problemu. Moim zdaniem powinna nią być Bertha Röschke, której zdjęcie zamieszczono w pierwszym tomie albumu „Był sobie Gdańsk”. Z kolei historię jej życia opisał Mieczysław Abramowicz w drugim numerze kwartalnika o tym samym tytule. Kto wie, może z czasem taka rzeźba stałaby się kolejnym symbolem Gdańska, niezym handlarka dla Karlskrony, albo Jasiu Rybak dla Sopotu.

Marek Adamkiewicz

30 dni

PROPONUJE



10

Abraham twardy Kaszuba

Abraham rzadko respektował zakaz publicznego używania języka polskiego. W 1911 roku podczas wiecu w Żarnowcu, w którym uczestniczyło trzystu Kaszubów, został pojmany za to, że perorował po polsku, bo nie „chciał po niemiecku przemawiać”. Prusacy zakuli go w kajdany. Zapewne nie wiedzieli, że „kaszubski król” dysponował nieprzeciętną siłą. Rozerwał łańcuchy i stanął wolny.

Listy	3
Wczoraj i przedwczoraj ...	6
Świetlne niespodzianki	6
Świątecznie	8



Abraham, twardy Kaszuba

Tadeusz T. Głuszko

Od Rynku do Srebrzyska ..



Czym niegdyś była ulica Partyzantów – Mirachauer-Weg? Połączyła drogą, pełnym poezji traktem nad rwącym strumieniem o bardzo podmiejskim wyglądzie. Czym jest obecnie? Ulicą pełną kontrastów, nadgryzionych zębem czasu kamienic, niknących ruder, nowoczesnych centrów handlowych, biurowców i apartamentowców.

Sławomir Kościelak

Wielkie dzieła Dürera z kolekcji Kabruna

Gdański zespół dzieł Dürera zawiera 26 rycin. Najliczniejsze są miedzioryty. Ryciny zazwyczaj mają niewielkie rozmiary, często są niepozorne, kameralne, wręcz intymne, dlatego nie jest łatwo pokazać je na ekspozycji. Z tego powodu, by zaprezentować gdańskiej publiczności kolekcję Kabruna na wystawie w Zielonej Bramie (to oddział Muzeum Narodowego), wybrano ten niewielki zbiór grafik.

Jacek Kriegseisen

Bitwa korwet na Zatoce ..

W czasie wojny francusko-pruskiej 1870 roku słaba liczebnie flota pruska nie kusiała się o podejmowanie bitwy z liczniejszym przeciwnikiem,



broniąc jednocześnie dostępu do własnych portów. A jednak w czasie rajdu francuskiego zespołu na Zatoce Gdańskiej doszło do bitwy, w rezultacie której pruska korweta „Nimfa” odniosła znaczny sukces.

Tadeusz Górski

„30 Dni”

Spis treści rocznika 2009

Gdańszczanin z załogi „Rudego”



Serial „Czterej pancerni i pies” bił rekordy popularności, a grający w nim aktorzy, zwłaszcza Janek i Marusia, byli obdarzani uwielbieniem. Pierwszy odcinek wyemitowano 9 maja 1966 roku, ostatni nakręcono w 1970. Emisję powtarzano niemal co roku, dzięki czemu w młodość pamięć miało szansę wryć się kilka wcale zabawnych powiedzonek i przeświadczenie, że koniec końców myśmy tę wojnę wygrali. Już w pierwszym odcinku zatytułowanym „Załoga” możemy usłyszeć o Gdańsku, choć akcja rozgrywa się na Syberii.

Waldemar Borzestowski

Moja ulica Wajdeloty



Nie ma już „Baru pod Budą”, w którym przez brudne szyby można było dostrzec kłębiący się tłum ledwo widocznych w gęstym papierosowym dymie mężczyzn, popijających

czyściochę pod słonego śledzia. Zastąpił go elegancki lokal „Valdonas”. Wszedłem tu po raz pierwszy w życiu... Z panującej atmosfery, zaobserwowanej kiedyś z okien mojego domu, nie zostało dosłownie nic. Tylko na półeczce stała, jako ozdoba, dawna emaliowana tabliczka z numerem domu 22...

Wspomnienia *Hanny Walentynowicz-Tkaczyk*

Ulice 54

Obrońców Westerplatte – Georgstrasse



Przeprowadzając się kilka lat temu do Oliwy nie przypuszczałem nawet, że moje spacerowanie przez park, czy praktyczne wędrówki na rynek, będą miały w sobie – przynajmniej od czasu do czasu – również coś z charakteru literackiej pielgrzymki. A to za sprawą Rainera Marii Rilkego, który wprawdzie nie napisał żadnego wiersza poświęconego Oliwie, ale był tu dwukrotnie, odwiedzając Gdańsk i Sopot.

Paweł Huelle

Było dwóch Franciszków Guzińskich ... 56

Dzięki informacjom, które przekazał nam pan *Wiesław Ostrowski* możemy zwrócić uwagę na fakt, że wśród Polonii Gdańskiej działało dwóch panów o nazwisku Franciszek Guziński. Prócz pocztyliona, o którym pisał Waldemar Borzestowski w poprzednim numerze „30 Dni”, był również Franciszek Guziński przewodniczący Związku Pracowników Kupieckich i zarazem członek Zarządu Gminy Polskiej.

Wydawnictwa 58

Był sobie Gdańsk, pozostały zdjęcia 61

Prezentujemy kilka „albumowych” zdjęć Gdańska sprzed 1945 roku.

Na okładce:

W przeświśle Złotej Bramy widok na kamienicę przy ulicy Długiej, około 1905. Foto: Zbiory Krzysztofa Gryndera

Podobnie jak w poprzednich latach, w ostatnim numerze 2009 roku prezentujemy kilka zdjęć dawnego Gdańska. Ciągłe jeszcze u zaprzyjaźnionych z nami kolekcjonerów, ale też na rynku antykwarycznym, pojawiają się fotografie, które potrafią zaskoczyć; nie tylko nie wywołują znużenia, ale skupiają uwagę i zainteresowanie.

Tak jest i tym razem. Co więcej, nie przeszkadza nawet ta okoliczność, że na większości tych zdjęć widzimy miejsca znane z innych ujęć. Ale nawet wtedy, gdy patrzemy na sklepowe witryny w kamienicach na ulicy Długiej, zaskakuje nas niebywała mozaika szczegółów, których nie oglądaliśmy wcześniej na żadnej chyba fotografii zrobionej na tej ulicy. A jest ich przecież tak wiele.

Zaskakuje, choć w inny sposób perspektywa ulicy Stągiewnej. Tym razem zapewne na zasadzie kontrastu w stosunku do tego, co możemy dzisiaj zobaczyć w tym miejscu.

Ciągle jeszcze można wędrować po dawnym Gdańsku, odnajdując nieznane lub mało znane stare fotografie. Okazuje się, że zasoby archiwalne jeszcze się nie wyczerpały. Wiele wskazuje na to, że będziemy mogli do nich docierać także w kolejnych latach.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia i na nowy – 2010 rok – proszę przyjąć serdeczne i najlepsze życzenia.

Grzegorz Fortuna



FOTO: ZBIORY KRZYSZTOFA GRYNDERA

Dwumiesięcznik ilustrowany – magazyn pomagający lepiej poznać i bardziej pokochać Gdańsk, Gdynię, Sopot i Pomorze Gdańskie

30dni

Nr 6 (86) Listopad-Grudzień 2009

ISSN 1506-6487

Wydawca: „Millenium Media” Sp. z o.o.

Adres Redakcji i Wydawcy: ul. Szeroka 121/122 80-835 Gdańsk

Kontakt: tel / fax (0-58) 305 60 22, e-mail 30dni@use.pl

Redakcja: Grzegorz Fortuna

Layout: Miłosz Rączkowski, Jarosław Szopiński

Opracowanie graficzne: Małgorzata Trys

Zespół i współpracownicy: Waldemar Borzestowski, Tadeusz Głuszko

Projekt redakcyjny i wydawniczy: Grzegorz Fortuna, Wojciech Duda i inni

Fotografie: Maciej Kosycarz (KFP), Wojtek Jakubowski (KFP), Marcin Pazio

Archiwa: Biblioteka Gdańska PAN, Archiwum Państwowe w Gdańsku, Muzeum Narodowe Gdańsk, Muzeum Historyczne Miasta Gdańska oraz zbiory prywatne

Reprodukcje zdjęć: Andrzej Kotecki

Druk: ZPW „Poznań”, Inowrocław

Reklama: Prosimy o kontakt z wydawcą tel. (0-58) 305 60 22

Prenumerata: zamówienia przyjmuje wydawca

Oplatę (3 numery – 27 zł, rok – 54 zł) należy wpłacać na konto

Millenium Media Sp. z o.o.

NORDEA BANK POLSKA S.A.

09 1440 1097 0000 0000 0032 0797

Wysyłkę rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dacie wpłaty

Numery archiwalne do nabycia w redakcji

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych

Zastrzega sobie prawo skracania

i adiacji tekstów, a także zmiany ich tytułów

Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczonych reklam i ogłoszeń



FOTO: PRZYSTOŃ / MISTRZOWSKI / PFP

Świetlne niespodzianki

Na przełomie listopada i grudnia niektóre gdańskie budowle zmieniały o zmroku swój wygląd. Wszystko za sprawą światła poddanego działaniu artystów.

Festiwal nosił nazwę „Narracje. Instalacje i interwencje w przestrzeni publicznej” i po raz pierwszy odbywał się w Gdańsku. Kilku artystów przygotowało swoje instalacje i interwencje w taki sposób, by pokazać mieszkańcom miasto, a przynajmniej jego fragmenty, w zaskakujący sposób.

Chyba najbardziej rzucało się w oczy to, co działo się „na” Zieleniaku. Autorem tej instalacji była Dorota Walentynowicz. Budynek zasadniczo zmieniał się w przestrzeni, ożywał i zaznaczał się w pejzażu miasta. Stawał się czymś innym, niż to do czego przywykliśmy.

W obszarze działania festiwalowych artystów znalazły się też inne budynki, między innymi spichlerz na Wyspie Spichrzów i Katownia. W kilku miejscach eksponowane były mniejsze, ale również ciekawe instalacje.



FOTO: PRZYSTOŃ / MISTRZOWSKI / PFP

Możesz się dwoić...



...lub wybrać szybko reagujący terminal **BlackBerry® 8520** z dostępem do poczty elektronicznej.

Przez pierwsze **3 okresy rozliczeniowe** opłata miesięczna za usługę **iPlus email BlackBerry®** to tylko **1 zł** (1,22 zł z VAT)!
Oferta również dla Klientów, którym kończy się kontrakt.

Plus dla Firm. Razem lepiej

Przyjdź do punktu Plusa lub zadzwoń: 605 801 801, 605 801 603
(opłata zgodnie z cennikiem operatora), lub sprawdź na www.plus.pl
Szczegóły oferty w Regulaminie Promocji.

Plus  **dla Firm**

Świątecznie

6 grudnia ponad 2 tysiące „mikołajów” na motocyklach i quadach zjechało na Długi Targ i Długą. Dochód z tej imprezy przeznaczany jest na dożywianie dzieci w szkołach.

Okres przedświąteczny wypełnia się coraz bardziej imprezami okolicznościowymi. Do zapalania świateł na choince na Długim Targu, do jarmarku gwiazdkowego (ostatnio krytykowanego), do orszaku św. Łucji (pojawił się w Gdańsku za sprawą zaprzyjaźnionego Kalmaru) dołączył teraz zjazd „mikołajów”. W Trójmieście odbywał się już po raz szósty, po raz pierwszy zawitał do Gdańska.

„Mikołaje na motocyklach” to największa parada motocyklowa w Europie. W tym roku przemieszczała się ze Skweru Kościuszki w Gdyni na Długi Targ. W ubiegłym roku dochód z imprezy pozwolił ufundować ponad 15 tysięcy obiadów dla dzieci w pomorskich szkołach. ■



FOTO: STANISŁAW BEDNARZ / KFP

W opowieściach o Antonim Abrahamie prawda przeplata się z legendą. Dopiero niedawno, przy okazji przygotowań do wystawy o początkach Gdyni, jego rodowodem zajął się Tomasz Gembalski, historyk zatrudniony w Muzeum Miasta Gdyni i skorygował kilka nieścisłości. Życie Abrahama ciągle czeka na dociekliwego badacza. Jak dotąd powstały zaledwie dwa obszerniejsze opracowania dotyczące tej postaci. Jedno pióra Władysława Pniewskiego z 1936 roku, drugie – powojenne – Tadeusza Bolduana. Na nich głównie opierają się autorzy pozostałych publikacji.

Abraham

Tekst: Tadeusz T. Głuszko

TWARDY KASZUBA

Zdrada, tu stał dom rodzinny Abrahama, lata siedemdziesiąte XX wieku

Cennym źródłem, ale mało wykorzystywanym, jest życiorys spisany przez Abrahama nieporadną polszczyzną na przełomie lat 1921/1922 (pisał jak mówił; część rzeczowników zaczynał z niemiecka dużą literą). Dużo informacji przekazują jego korespondencje zamieszczane w „Gazecie Gdańskiej” w rubryce „Listy ludu polskiego” (korygowane stylistycznie i gramatycznie przez redaktora gazety), w których nieraz nawiązywał do faktów z własnej biografii. Podpisywał je jako „Antek z pod gór Kartuskich”, „Antek z pod pomnika staro Fryca”, „Antek z dużym różkiem” i podobnie. Niestety, dostęp do tego źródła pozostaje mocno ograniczony, bo wiele roczników jest niekompletnych lub w ogóle zaginęły.

Z tych właśnie korespondencji niemało czerpał Pniewski i Bolduan. Obaj wspierali się też relacjami żyjących świadków. Nie znajdujemy jednak wśród nich potomków i krewnych „kaszubskiego króla”. Dlaczego? „Niestety, obaj synowie zniemczyli się ku wielkiemu zmartwieniu ojca, który zbytnio zajęty sprawami publicznymi, nie mógł oddawać się wychowaniu dzieci” – napisał Pniewski. Niewykluczone, że i córki zachowywały dystans do patriotycznych fascynacji ojca.

ANTEK ZE ZDRADY

Rodzina, przyjaciele i sąsiedzi nazywali go Antkiem albo Tónym. Przyszedł na świat 19 grudnia 1869 roku w osadzie Zdrada pod Mechowem, w powiecie puckim, w rodzinie bezrolnego komornika Jana Abrahama (urodzony między 1827 a 1831 rokiem, zmarły 8 marca 1872 roku w Zdradzie). Jego matką była Franciszka z domu Czap (urodzona około 1835 roku, data i miejsce śmierci nieznane). Jan utrzymywał rodzinę z dorywczej pracy u hrabiego von Krockow. Według przekazów Abrahamowie mieli zajmować glinianą chatę krytą strzechą.

Tóny stracił ojca mając niespełna trzy lata. Wychowywała go tylko matka, z którą przypuszczalnie miał dobry kontakt. Zapamiętał śpiewane przez nią pieśni. To ona na polskim modlitewniku uczyła go sztuki czytania, ona wprowadzała go do świata kaszubskich baśni i legend. Na co dzień rozmawiali po kaszubsku, ale modlili się i czytali po polsku.

Jednak nie matka rozbudziła w nim głębokie zainteresowanie historią oraz sprawami społecznymi i narodowymi. To zasługa znanego z patriotycznej postawy proboszcza z Mechowa, księdza Teofila Bączkowskiego (1838-1924), u którego Antoni był częstym

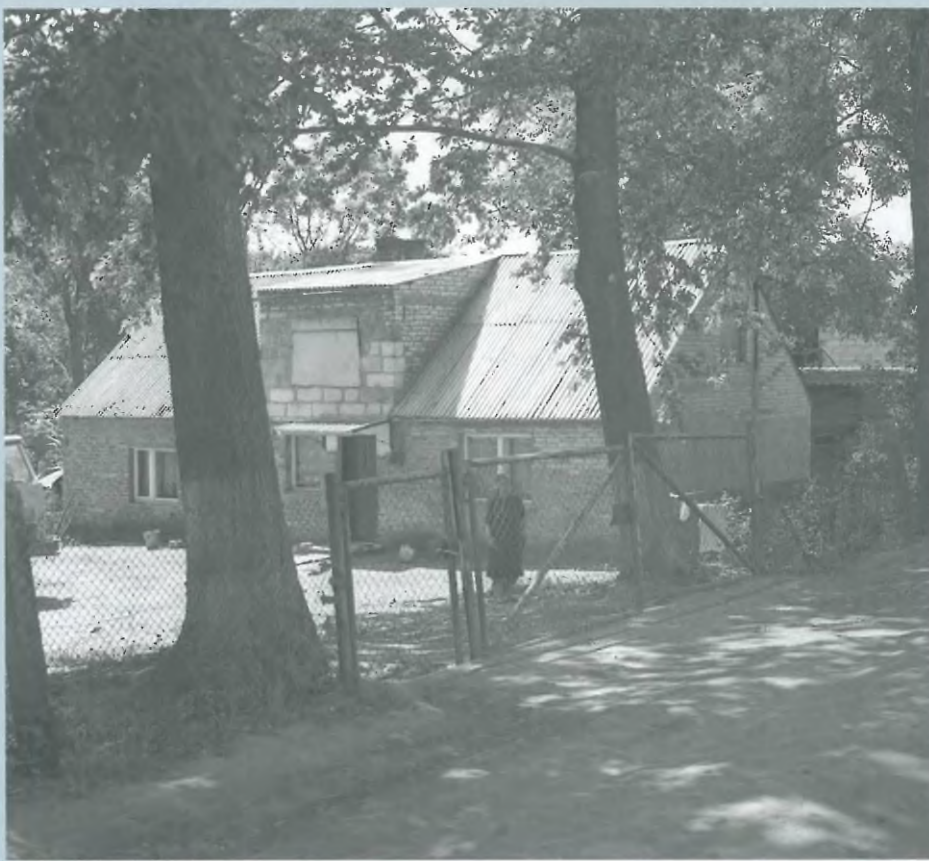


FOTO: ZBIORY MUZEUM MIASTA GDYNI

gościem, a może nawet udzielał się w kościelnym chórze i jako ministrant. Rozmowy z księdzem na pewno dawały mu możliwość poszerzania wiedzy, a kontakty plebana z kaszubskim działaczami patriotycznymi

mogły pomóc Abrahamowi w nawiązaniu z nimi znajomości. Kiedy władze pruskie zakazały głoszenia kazań po polsku, mechowski proboszcz nauczył się kaszubskiego, byle tylko nie przemawiać z ambony po niemiecku.

W państwie pruskim

Antoni Abraham dorastał w czasach, kiedy kanclerz Bismarck wdrażał wielkie reformy, które z jednej strony scalały i umacniały Rzeszę jako dobrze zorganizowane państwo, ale z drugiej odbierały rdzennym mieszkańcom Wielkopolski i Pomorza prawo legalnego kultywowania odrębności narodowej, kulturowej i religijnej. Polityka ta utrwaliła się w naszej pamięci historycznej jako Kulturkampf – „walka o kulturę”, obejmowała jednak nie samą kulturę.

Ustawy i rozporządzenia z lat 1871-1879 zakazywały posługiwania się innym językiem niż niemiecki w urzędach, szkołach i kościołach znajdujących się w powiatach, gdzie liczba Niemców przekraczała czterdzieści procent. Dotyczyło to powiatu gdańskiego i wejherowskiego. W puckim prawie wszyscy opowiedzieli się jako Polacy i tam prawo dopuszczało publiczne używanie języka polskiego, jednak władze lokalne nie zawsze to uznawały. Organizacje polskie działające legalnie w powiatach wejherowskim i gdańskim, chcąc posługiwać się językiem polskim podczas oficjalnych spotkań, musiały nadawać im charakter zebrań zamkniętych, korzystając z imiennych zaproszeń.

Władze pruskie sięgnęły też po ziemię pozostającą w polskich rękach. W 1886 roku powołano Komisję Kolonizacyjną, której zadaniem było wykupywanie jej od polskich właścicieli i przekazywanie niemieckim osadnikom. Ustawą z 1904 roku udaremniiono Polakom zamieszkałym we wschodnich prowincjach budowę domów na nabytych gruntach bez zgody lokalnej władzy, zaś ustawa z 1908 roku wprost umożliwiała wywłaszczanie Polaków.

Polityka ta miała poparcie liczącego się odtamu niemieckiej społeczności, zwłaszcza zawiązanego w Poznaniu w 1894 roku Niemieckiego Towarzystwa Wschodniego (Deutsche Ostmarkenverein) nazywanego popularnie Hakatą, którego celem była pełna germanizacja zaboru i maksymalne ograniczenie wpływu Kościoła Katolickiego na podtrzymanie narodowej odrębności polskich wiernych. Ale Kulturkampf sprowokował też polskich Pomorzan do oporu. Pobudził do silniejszej identyfikacji z własną kulturą, ziemią i Kościołem oraz – mimo szykan i prześladowań – zmusił niejako do organizowania się w Towarzystwach Ludowych i innych polskich organizacjach, jawnych i tajnych.

◀ Król Kaszubów w nieodłącznej „poznaniance”

Kościół i plebania w Mechowie, lata siedemdziesiąte XX wieku

Język kaszubski Prusacy traktowali jako germański dialekt wschodniego pogranicza i dlatego go nie zwalczali.

Ksiądz Bączkowski nosił charakterystyczną granatową rogatywkę nazywaną „poznaniąką”. Traktowano ją na Pomorzu jako symbol przynależności do narodu polskiego, co drażniło Prusaków. Abraham dostał podobną bodaj właśnie od niego (niektórzy nazywali ją błędnie „maciejówką”). Nosił ją z dumą do samej śmierci. Niewykluczone, że widziano go w niej nawet w Paryżu, gdzie reprezentował Kaszubów podczas konferencji pokojowej.

BYŁ DO GADANIA

Abraham ukończył czteroklasową szkołę, oczywiście pruską, w odległym od Zdrady o ponad sześć kilometrów Leśniewie. Dokończył się całe życie, czytając polskie książki i prasę oraz szukając kontaktów z ludźmi wykształconymi lepiej od niego.

Jeszcze jako chłopiec wybrał się z księdzem Bączkowskim na uroczystości odpustowe do Kalwarii Wejherowskiej, gdzie poruszył go liczny udział Kaszubów. Oburzała go natomiast obecność żandarmów, którzy panoszyli się między pątnikami, podobnie obcy i pogardzani, jak rzymscy żołnierze w Jerozolimie w czasach Jezusa. Po latach, kiedy mieszkał w Sopocie i Oliwie, pełnił godność marszałka oliwskiej kompanii pielgrzymkowej.

Kiedy skończył szesnaście lat, był już przystojnym smukłym młodzieńcem prawie dwumetrowego wzrostu, a na jego twarzy, jak wspominają świadkowie, często gościł pogodny uśmiech. Bodaj w tym wieku opuścił dom i rozpoczął wędrówkę po świecie, mając się różnych zajęć u gospodarzy i w lesie. Początkowo krążył między Zdradą, Mechowem, Darżlubiem i Domatowem. Nie można wykluczyć, że już wcześniej wyruszał ze Zdrady na dłużej. „Ja nieomal od kolebki po wioskach kaszubskich się włóczyłem”, wyznał w jednej z korespondencji do „Gazety Gdańskiej” w 1913 roku.

Czego bardziej poszukiwał poza domem: zarobku czy kontaktów z ludźmi? Tadeusz Bolduan przytacza opinię Ignacego Szornaka, mieszkańca Domatowa, który zapamiętał Abrahama jako młodzieńca, który „chętnie zasiadał do stołu z gospodarzami i, zającą się ze smakiem potrawy, gawędził na różne tematy. »On był do gadania, do roboty go nie ciągnęło«.” Lubił miejsca tłumne, takie jak uroczystości kościelne i jarmarki. Od czasu pierwszej pielgrzymki do Wejherowa chodził tam prawie każdego roku. Podobnie odwiedzał sanktuaria



FOTO: ZBIÓR MUZEUM WIASTY GOJNY

w Swarzewie, Piasecznie i inne. Wszędzie żarliwie się modlił i zagrzewał ziomków, by nie poddawali się antypolskiej i antykatolickiej polityce pruskiej. Chętnie wspierał się autorytetem Jezusa, nawiązywał do symbolu krzyża. Niewolę jednak rozumiał inaczej niż Mistrz z Nazaretu. Odbierał ją jako skutek pazerności zaborców.

KAMIENICZNIK I PRZEDSIĘBIORCA

Przez kilka miesięcy Abraham ciężko pracował w Wejherowie w „cementowej fabryce”. Stamtąd przeniósł się do Pucka, gdzie u zaprzyjaźnionego przedsiębiorcy Bazylego Adolpha wędził ryby i zajmował się ich sprzedażą. Według Pniewskiego, już w 1884 roku – razem z drukarzem i wydawcą Józefem Czyżewskim i innym kaszubskim działaczem Józefem Szulcem – założył oliwski oddział Towarzystwa Ludowego „Jedność”, jeden z pierwszych na Pomorzu (Tóńy miał wtedy piętnaście lat!).

Los Abrahama zatoczył ostry zakręt w Bolszewie pod Wejherowem, gdzie około roku 1890 przez dwa lata był pomocnikiem leśniczego. Tam „Powsinoga” (tak Antoni siebie nazywał) poznał prawie dziesięć lat starszą Kaszubkę z Orla, Matyldę Paszkównę (1859–1924), która została jego żoną. Co skłoniło młodego i przystojnego Abrahama do związku z kobietą starszą i raczej niemajątą? Skromny ślub odbył się w kościele w Górze Pomorskiej, według Pniewskiego, w 1896 roku. Natomiast najbardziej wiary-

godny świadek, bo sam Abraham, podaje rok 1890. Mieli pięcioro dzieci. Pierwsze urodziło się 16 lutego 1890 roku, co być może wyjaśnia powody zawarcia tego związku.

Jakiś czas Abrahamowie mieszkali w Orlu, skąd przenieśli się do leśnej osady Gręzowo koło Sopotu. Według Bolduana, Abraham pracował tam jako przodownik leśny i dodatkowo uprawiał kawałek przydziałowej ziemi. Pod koniec XIX wieku przeniósł się z rodziną do Sopotu, gdzie podjął dobrze płatną pracę woźnicy i tragarza u przedsiębiorcy przewozowego o nazwisku Lüdtke, natomiast w latach 1902–1903 był woźnicą w sopockim browarze Bergschloessen (Górski Zameczek).

Pierwszy sopocki adres rodziny to Schmierau 20 (Świemirowo), a następny – Rieselfeldweg 2 (przypuszczalnie niedaleko ulicy Bitwy pod Płowcami, przy której utworzono pola irygacyjne – Rieselfeld).

Pan woźnica miał talent majsterklepki, dzięki czemu dorabiał, wykonując zamówienia na nieduże naprawy domowe i prace porządkowe. Dzięki temu prędko odłożył pieniądze na zakup działki budowlanej przy Elisabethstrasse 16 (Karlikowska) i już 16 września 1903 roku dostał zgodę policji budowlanej na postawienie piętrowego domu. Wymieniany jest w tym dokumencie jako „Bierfahrer” – rozwoziciel piwa.

Budynek wkrótce stanął. Abrahamowie zajęli jedno mieszkanie, pozostałe wynajęli. Stan majątkowy rodziny wyraźnie się poprawił. Antoni zakupił jeszcze drugi dom,

wydzierżawił żwirownię i założył własne furmaństwo z dwoma zaprzęgami koni. Okazało się, że umie nie tylko „gadać”. Jednocześnie dalej angażował się w sprawy narodowe i społeczne, pozostając aktywnym członkiem oliwskiego Towarzystwa Ludowego „Jedność”. W tamtym czasie wielu robotników polskich wstępowało do niemieckich socjaldemokratycznych związków zawodowych, by bronić swoich interesów. Abraham przejął się tym mocno. Chcąc chronić rodaków przed niemieckimi wpływami, założył w Sopocie, w 1906 roku, oddział Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, któremu jakiś czas patronował. Trafiali tam robotnicy oraz pracownicy rolni i służba leśna.

WĘDROWNY PROROK

Wiosną 1908 roku Abrahamowie stracili nagle cały majątek. Stało się to „przes bojkot niemiecki” – skwitował w życiorysie. Według Pniewskiego i Bolduana było to spowodowane koniecznością wykupienia weksla na znaczną sumę, który w marcu 1908 roku Abraham podżyrował Niemcowi Bahrowi z Redy. Łączyły ich jakieś interesy i dlatego zapewne darzyli się zaufaniem. Abraham musiał szybko wszystko sprzedać.

W październiku 1909 roku mieszkali już w Oliwie, gdzie wynajmowali mieszkanie przy Pelonkenstrasse 4 (Polanki), a później – w pensjonacie Marty Krzyżewskiej przy Ludolfinerstrasse 2 (Czyżewskiego). Utraciwszy własne nieruchomości i firmę, Abraham wrócił do pracy najemnej. Został

komiwojażerem w gdańskim oddziale firmy Singera i Neidlingera, która handlowała maszynami do szycia i rowerami. Jako domokrążca wyruszył z blozkiem zamówień na ukochaną prowincję. Pod przykrywką pracy komiwojażera realizował się jako trybun ludowy. Kolportował prasę polską (między innymi „Gazetę Gdańską” i „Gryfa”) i wygłaszał płomienne, patriotyczne przemówienia. Najczęściej poruszał się pieszo, co powodowało, że przebywał poza domem całe dni albo wręcz tygodnie. Podobno więcej zarabiał handlując wędzonymi szprotami niż sprzedając maszyny i rowery.

W krótkim czasie stał się postacią znaną na Kaszubach i Kociewiu. Jeden z korespondentów „Gazety Gdańskiej” tak o nim pisał: „jest on największym działaczem na niwie narodowej na Kaszubach. Jest to chłop mocny i silny, do 2 metrów wysoki, dłoń ma jak lew, plecy jak niedźwiedź, a głos piorunujący! (...) Na głowie ma polską czapkę i kij dębowy jak drag. Wędrując po naszych kaszubskich okolicach agituje, naucza, pisze i rozdaje »Gazetę Gdańską« i książki. A wszędzie, gdzie przyjdzie, jest jak w domu, każdy go lubi, każdy rad słucha i chętnie go widzi” (w numerze 116 z 1913 roku). Słynny był jego wielki rożek, z którego zażywał tabaki i częstował nią na lewo i prawo. Jak wszyscy wytrawni amatorzy tej używki podczas kichania osłaniał nos wielką czerwoną chustą w białe grochy zwaną szneptuchem.

Pojawiał się niespodziewanie przy chatkach, kościołach, na rynkach i z ogniem

w oczach rozbudzał u rodaków polskiego ducha, przekonywał do zakładania oddziałów Towarzystwa Ludowego, a przybierając ton mentora albo uciekając się do żartów wytykał bierność, ciemnotę, skłonność do zabobonu i inne wady, które ułatwiały Prusakom germanizację. Na początku 1914 roku zamieścił w „Gazecie Gdańskiej” retoryczne pytanie z gotową odpowiedzią: „A co temu winne? Brak garnięcia się do czytania”. Zachęcał więc do korzystania z polskich czytelni ludowych, gdzie czekały „wartościowe” gazety i książki. Sam roznosił bezinteresownie „Gazetę Gdańską”, którą cenil za propagowane treści patriotyczne i religijne w bliskim mu duchu narodowo-demokratycznym.

Nie tylko wytykał rodakom wady i gromił pruskie ustawy. Nade wszystko rozwijał idealistyczne wizje odrodzonej Polski. Zapowiadał ją jako królestwo sprawiedliwości oparte na chrześcijańskich wartościach, gdzie wszystkie stany będą się wzajemnie wspierały i żyły w zgodzie. Innej „Polski” sobie nie wyobrażał. Chociaż lata współpracy z Singerem uważa się za najbardziej aktywny okres życia Abrahama, dotyczy to bardziej działalności patriotycznej niż zawodowej. Za jego przyczyną powstały oddziały Towarzystw Ludowych w Chyloni, Chwaszczynie, Gdyni, Kielnie, Kościerzynie, Pucku, a w latach 1911-1913 sam przewodził oddziałowi w Redzie.

Na wycieczce po Polsce, rok 1923, Abraham siedzi w środku



FOTO: TEORY MUSEUM MAŁA GDAŃ

Listy ludu polskiego.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Kochany i Drogi Hincio!

Gdy wiał moja „Gazetę Gdańską” do ręki i zobaczył, żeś mnie tak wspominał — zabrałem się energicznie do pisania. Bo trzeba Ci wiedzieć, że mi nie łatwo urwać się od zajęć codziennych i pisać każdej chwili, kiedy bym tego chciał. Dla dobra jednak sprawy chętnie poświęcam pisaniu każdą wolną chwilę.

„Znaczący przytem muszę, że szczególnie wzruszyło mnie, iż choć ci jestem nieznan, to jednak pieszysz do mnie i prosisz, abym przyszedł Ci do pomocy — żeby Towarzystwo ludowe zakwitnęło w Twojej okolicy. W przyszłych dniach będę ja tam w waszych stronach. Zobaczymy, co się da zrobić. Chętnie bym Ciebie poznał, a przy tej sposobności pogawędziłibyśmy sobie o niejednym. Szczególnie zaś o tem, jak zapobiegać wdrażaniu się germanizmu i jak bronić przed nim praw naszych najświętszych.

Kochany Przyjacielu! Opowiadał mi bardzo wiele o waszej ostatniej zabawie, ale z drugiej strony skarżysz mi się, że gdy tylko trąbki zażgrzmiały na niemieckim habetyku, to nasi Polacykowie zaraz jak pęcznoli do ula tłoczyć się zaczęli.

Oj źle, bardzo źle się tam dzieje.

Powiedzcie mi otwarcie: Czyż to nie jasny dowód, że brak oświaty na naszych ukochanych Kaszubach?

A powiedz mi też z łaski swojej, czyż wszyscy ci czytają naszą ukochaną „Gazetę Gdańską”? Pewno że nie, bo by czegoś podobnego nie zdołali uczynić.

Lecz posłuchaj. Dam Ci ja dobrą radę na przyszły raz. Patrz pilnie na tych, którzy tam pójdą, abyś żadnego z nich nie opuścił. Zapisz sobie dokładnie ich nazwiska, a potem — gdybyś przypadkiem nie wiedział, — dowiedz się ich adresu. Wszystkie te adresy zaś proszę nadesłać naszemu ukochanemu panu redaktorowi „Gazety Gdańskiej”. Ten im chleba duchowego posle do pokarmu.

Jemu nie chodzi o ten trojak na „Gazetę Gdańską”, choć go z własnej kieszeni wyłożyć musi i poczyć za przesyłkę zapłacić. O kosztach druku już nie wspominając. Główna rzecz, aby człowiek taki który już nie pomni na to, czym jest i co właściwie czynić powinien, „Gazetę Gdańską” czytał i stąd nabrał szpumu.

Bo dziwno mi, że ta nasza ukochana młodzież w obecnej chwili nie może się polapać, gdzie to grozi nieszczęście, wszędzie nad głowami naszymi.

Od lat wielu już uderzył na nas grom nieprzyjaciela i bije — a bije nieustannie.

Uderza w ziemię naszą, przebijając serca nasze i rani je nieustannie w tej chwili właśnie, gdy nasi pobratymcy,

Słowianie bałkańscy walczą z najeźdźcami. Walczą z wrogami tymi, którzy im przed laty trzystu przemocą zabrali ziemię bezprawnie. A walczą oni na śmierć i życie. Dopominają się praw swoich. A ponieważ zjednoczeni i jednomyślni, jednym celem i jednym duchem silni, zwyciężają, bo po ich stronie Bóg, bo sprawiedliwość za nimi...

I tak będzie z nami, gdy będziemy się wzajemnie trzymali i na żadne huzarytki nie pójdziemy. Wtedy będą dopiero nasi najeźdźcy za nami z szacunkiem najwyższym spoglądali, bo przekonają się z tego, żeśmy ludzie honorowi, że rozumiemy, co nam czynić wypada — i że doskonale spełniamy nasz obowiązek narodowy.

Dopóty jednak wszyscy tego nie rozumiemy, powinni przynajmniej ci, którzy już nieco więcej są uświadomieni, nie rozpaczają i nie płaczą, ale czynią to, co nam święty nasz obowiązek nakazuje. Nam nie płakać i rozpaczować, ale bronić mężnie praw swoich potrzeba. Bronić zaś na mocy praw konstytucji, zaprzynionej nam przez królów pruskich.

Wiemy, że przeminęła niewola żydowska i minęła nawet ich świętość. A oni, chociaż w tułactwie — pozostali narodem. Choć rozproszeni, zawsze solidarnie złączeni, jedną myślą i jednym sercem wzajemnie się wspierali. A trzymają się wiernie przepisów starego zakonu, czyli praw swoich, bo wiedzą, że bez tego dawno byłiby zginęli.

Oto wielki przykład i nauka dla nas!

Wielki przykład dla naszej młodzieży.

Lecz nie tylko dla niej. Także i dla matek naszych, aby pilnowały, żeby synkowie i córeczki nie chodzili, gdzie im się nie przynależą. Aby nie chodziły na różne huzarytki i podobne inuciechy, gdyż to się zwykle źle kończy a potem wywołuje jedynie płacz i narzekanie, gdyż skrusza zawsze przychodzi po niewczasie.

Szkoda tylko, że wszelkie słowa prawdziwe rzadko doznają posłuchu. Już Mojżesz przepowiedział żydom upadek i kary Boże. Przed śmiercią przepowiedział im nawet, że ostatecznie miłosierdzie Boże przygarnie ich do siebie i że się wkońcu nawrócą.

A zatem chcąc uzyskać miłosierdzia Bożego, trzeba się nawrócić. Trzeba zaniechać drogi złej i ku dobrej zawrócić. Pamiętajcie o tem Kochani Bracia.

Was zaś, wszyscy Czytelnicy „Gazety Gdańskiej” proszę usilnie i serdecznie, abyście nie tylko starali się żeby wszyscy Wam znani grzesznicy narodowi się nawrócili, ale żebyście pozyskali ich dla naszej ukochanej „Gazety Gdańskiej”.

Skoro ich bowiem już do tego nakłonicie, aby zawsze „Gazetę Gdańską” czytali, wtedy na pewno nie zgłębimy, boć stara prawda, że

„Oświata ludu dokona cudu!”

O tem zapewnia Was wszystkich Wasz szczerzy, a serdeczny przyjaciel Antek z pod pomnika starego Fryca.

MĘCZENNIK I PUBLICYSTA

Abraham rzadko respektował zakaz publicznego używania języka polskiego. W 1911 roku podczas wiecu w Żarnowcu, w którym uczestniczyło trzystu Kaszubów, został pojmany za to, że perorował po polsku, bo nie „chciał po niemiecku przemawiać”. Prusacy zakuli go w kajdany. Zapewnie nie wiedzieli, że „kaszubski król” dysponował nieprzeciętną siłą. Rozerwał łańcuchy i stanął wolny. Przedstawiciele władzy doprowadzili niepokornego Kaszuba przed sędziego, który skazał go na kilka tygodni ciemnicy. Kiedy odsiadywał karę w gdańskim więzieniu, jego przyjaciel Antoni Miotk (prezes oddziału Towarzystwa Ludowego w Pucku) przysłał mu wierszowany telegram zaadresowany: „Szan. Pan Abraham, męczennik za wiarę i ojczyznę”.

Nie był to jedyny pobyt Abrahama w gdańskim więzieniu. W tym samym roku trafił tam ponownie „zgarbięty” tym razem z legalnie zwołanego spotkania w Redzie. Było to zebranie zamknięte i w myśl prawa można było na nim przemawiać po polsku. Żandarmi jednak wtargnęli do zamkniętej sali (wyrabiali drzwi) i kazali ludziom się rozejść, a Abrahama aresztowali na kilka tygodni. O warunkach tego uwięzienia tak pisał (w 1923 roku) redaktor „Rodziny Kaszubskiej”: „poszedł do więzienia w Gdańsku, gdzie go chłodem i głodem morzono w nieopalaną w mroźną zimę celę (...). Z głodu i zimna był, jak mi sam mówił, pragnienie, wzmożone słonemi śledziami, ktoręmi go karmiono, paliło mu wnętrzności, ale nie i nikogo nie wydał”.

Organa sprawiedliwości nękały go jeszcze w Wielkim Kacku, Chyloni i w innych miejscowościach. Sam wójt Redy wytoczył

mu w 1913 roku aż dziewięć procesów, a do końca 1914 roku Abraham około czterdziestu razy stawał przed sądem skazywany na grzywny i areszty. Opowiadał, że jeden wyrok dostał za rzucone na jakimś zebraniu przekleństwo, by Niemców diabli wzięli. Od tamtego czasu zaczął mówić inaczej: „Niechże jich Pón Bóg jak nōrechłjy do siebie zabierze!”. Część postępowań umorzono, kiedy po wybuchu wojny światowej dostał powołanie do pruskiego wojska.

Nie wszystkie zebrania z udziałem krewkiego Abrahama miały dramatyczny przebieg. Bez zakłóceń przebiegło spotkanie w Redzie, 7 grudnia 1913 roku, podczas którego profesor Feliks Herestowski z Oliwy wygłosił odczyt o edykcje mediolańskim z 313 roku. Ale i tu nie obeszło się bez mocniejszego akcentu: tego wieczoru Abraham złożył prezesurę. Nie wycofał się jednak z życia Towarzystwa.

Przypuszczalnie przed wybuchem wojny wydał za żonę córkę Julianę (za Teofila Okonia z Wejherowa). Młodsza Małgorzata wyszła za Pawła Jakubowskiego z Gdyni bojąc w latach wojny lub krótko po jej zakończeniu.

WOJNA

Nie jest pewne, kiedy Abraham został wcielony do pruskiego wojska: już w 1914 roku czy później? W „Gazecie Gdańskiej” z 25 lipca 1914 roku ukazała się jego korespondencja zawierająca formułę pożegnania z czytelnikami: „A gdy już powinność moją spełniłem, żegnam moich drogich Rodaków z kaszubskiej ziemi, żegnam drogiego majsterka z ukochanej »Gazety Gdańskiej« i wszystkich jej Czytelników, niechaj wszyscy będą dobrej myśli, niech mężnie wyznają zasady naszej wiary i naro-

Jedna z licznych korespondencji Antka w „Gazecie Gdańskiej”

dowości, a lepsze nastaną dla nas czasy”. Na czas wojny władze pruskie nakazały wyciszenie sprawy polskiej i „Gazeta Gdańska” musiała się temu podporządkować; coraz więcej miejsca zajmowały komunikaty wojenne i zarządzenia władz. Pod koniec 1915 roku mobilizacją objęto wielu działaczy kaszubskich.

Sam Abraham krótko kwituje swój udział w wojnie: „od 1916–1918 roku byłem na Wojnie pruski”. Przeszkolony jako artylerzysta trafił na front francuski. Jak długo wojował i z jakim zapałem? Nie wiemy. Został ranny i trafił do szpitala frontowego, skąd miał zostać odesłany – jak pisał rodzinie – do batalionu zapasowego w Słupsku. Kartka pocztowa z tą wiadomością nosiła datę 9/9 bez podania roku.

Wyłączony z walki nie czuł urazy do Francuza, który go postrzelił. Opowiadał, że był mu nawet wdzięczny, bo rana okazała się niegroźna, a on zrobił wszystko, żeby nie zagoiła się do końca wojny, dzięki czemu na front już nie wrócił. Ale wojna nie obeszła się tak łaskawie z resztą rodziny. Daleko od domu skonał syn Jan, a młodszy Leon zmarł w Oliwie wskutek powikłań po wojennych ranach. Zginął też zięć Teofil Okoń.

SPEŁNIAJĄCE SIĘ NADZIEJE

Po powrocie do Oliwy Abraham dostał pracę w gdańskim Banku Spółek Zarobkowych w charakterze woźnego. W życiorysie napisał, że był urzędnikiem. Z upoważnieniem bankowym jeździł po Pomorzu i przyjmował srebro i złoto na rzecz skarbu narodowego. Bolduan zamieszcza wspomnienie córki Tomasza Rogali, Krystyny,

która tak zapamiętała woźnego Abrahama: „Rano – stał zawsze przed gmachem na środku chodnika, wielki, ogromny, w tej swojej maciejówce. Śmiać mi się chciało, jak widziałam, że Niemcy omijają go z daleka. Woleli nadłożyć drogi, niż otrzeć się o niego. A on stał jak posąg, nieruchomy”.

Na czas wojny władze zawiesiły działalność oliwskiej „Jedności”, dlatego Abraham natychmiast po powrocie założył w Oliwie kółko śpiewacze „Lutnia”, do którego przystąpiło dziewięćdziesiąt osób. Pewnie wiele śpiewano (sam Abraham był obdarzony niezłym głosem i miał talent aktorski), ale przede wszystkim rozmawiano o końcu wojny i szansach odzyskania przez Polskę niepodległości. A te okazywały się niemałe.

Abraham był znany na Pomorzu, więc został członkiem utworzonej w Poznaniu Naczelnej Rady Ludowej (pod inną nazwą działała nielegalnie już od 1916 roku, ujawniła się 11 listopada 1918 roku), która uznana została przez Polski Sejm Dzielnicowy (reprezentujący delegatów byłego zaboru pruskiego) za legalną władzę państwową. Wszedł też w skład powstałego

w Gdańsku w listopadzie 1918 roku Podkomisariatu NRL na Prusy Królewskie, Warmię i Mazury, któremu podlegały rady ludowe tworzone we wszystkich pomorskich miejscowościach. Taka rada powstała też w Oliwie. Jej członkowie wędrowali od domu do domu i przekonywali do składania podpisów na liście popierającej przyłączenie Pomorza do Polski.

Przypuszczalnie 25 grudnia 1918 roku Abraham spotkał się w Gdańsku z Ignacym Paderewskim, który z Romanem Dmowskim reprezentował Polskę na obradującej od 18 stycznia 1919 do 21 stycznia 1920 roku konferencji pokojowej w Paryżu.

AKCJA I REAKCJA

Paryska konferencja pokojowa spowodowała nasilenie niemieckich akcji prasowych, w których przekonywano Europę, że Kaszubi nie są Polakami i pragną pozostać przy Rzeszy Niemieckiej. Niejako w odpowiedzi z Polski zaczęły dochodzić rezolucje wiecowe, w których żądano zwrotu Pomorza z Gdańskiem. 30 marca 1919 roku Abraham wiecował w Miszewie koło Żukowa, gdzie

zapadła rezolucja: „My, Kaszubi, zebrani w Miszewie na wiecu, oświadczamy, że nie jesteśmy Niemcami, tylko czujemy się dziś tak jak i dawniej Polakami. Kręactwa gazet hakatystycznych, że jesteśmy Niemcami, uważamy sobie za ciężką zniewagę”. Natomiast oliwska Rada Ludowa wydała, 6 kwietnia 1919 roku, uchwałę, w zakończeniu której padły słowa później często cytowane: „Nie ma Polski bez Kaszubów, bez Kaszubów Polski”.

Kiedy z Paryża dotarła wieść o sprzeciwie Anglii wobec polskich żądań terytorialnych, w gdańskim Podkomisariacie NRL – według Pniewskiego – zastanawiano się nad siłowym przejściem Pomorza. Plany takie obaliło pospieszne ściągnięcie oddziałów pruskiej straży granicznej – grenzschatzu. W tej sytuacji postanowiono wysłać pomorskich delegatów na konferencję paryską z memoriałem, w którym zawarto argumenty na rzecz polskości Pomorza, i żądaniem przyłączenia go do Polski. Wybór padł na gdańskiego adwokata Mieczysława Marchlewskiego, Antoniego Miotka z Pucka, Tomasza Rogalę z Kościerzyny i Antoniego

Życiorys napisany własnoręcznie przez Antoniego Abrahama dla starostwa w Wejherowie:

Życiorys Antoniego Abrahama z Gdyni dawnie w Oliwie

Jestem urodzony 19 Grudnia 1869 w Miechowie powiat Pucki mój Ojciec nazywał się Jan Abraham moja Matka Franciszka Czapów. przeszedłem szkoła wiejska w Lesniewie powiat Pucki w roku 1890 ożeniłem się z Matildą Paszkówną, z domu pracowałem w cementowej fabryce w lese państwowym i na roli miałem 5 dzieci z których dwóch poległo na Wojnie Niemieckiej a jedno przez nieszczęśliwy wypadek, Życie postradało.

Dwadzieścia pięć lat mieszkalem w Sopotach i Oliwie a od roku 1920 mieszkam w Gdyni od 1916 – 1918 roku byłem na Wojnie pruskiej w czasach mego pobytu w Sopotach i Oliwie byłem 3 razy wydany z pracy za mego Polskiego ducha i miałem w Sopotach własny dwa kamienie i furmanstwo w cztery konie które przes bojkot niemiecki straciłem od dwadzieścia lat mego życia ofiarowałem się politycznym sprawom od roku 1908 jak przeszła sprawa wywłaszczenia Polaków w Sejmie pruskim od tedy postąpiłem gorąco i lud bronił od zarazy Krzyżacki i tam mie pruski Żandarmy 36 procesów politycznych wytoczyli, tak że w Żarnowcu powiecie Puckim na wiecu 4 Żandarmów i Wojt i Soltys w kajdanki mie związały przed Oczyma około 300 słuchaczy że nie chciałem po niemiecku przemawiać na wiecu Kajdany rozewałem zato dostałem się na 4 tygodnie wjeżenia za opór Polacye pruski w Redzie powiat Wejrowski na zebraniu Towarzystwa Ludowego w zamknięciu kolku wybili (zaraz? – słowo nieczytelne, przyp. T.B.) 4 Żandarmów 4 drzwi i Redski Wojt mie 9 procesów witości, w Chylonie 2 drzwi mie Żandarmie wybili i proces wytoczyli, przes polityka traciłem swój majątek i Chleb jest swiatkiem Ks Kopczyński w dużym Garczu pod Pielpinem w roku 1919 byłem jako delegat kaszubski wydelegowani od rady Naczelny z Gdańska do Paryża i potem byłem 2 lata urzednikiem w Banku Zwiasku Zarobkowym w Gdansk a stad byłem mianowany od komisarza granicznego jako pracownik przy Komisji granicznej że znałem najlepiej lud kaszubski i przekonałem go teras jestem kierownikiem wędzarni ryb u pana Adolfa w Pucku

Z wysokim szacunkiem Antoni Abraham w Gdyni Pomorze Do Starostwa Wejrowo

Cytat dosłowny za: Bolduan Tadeusz, „Trybun Kaszubów. Opowieść o Antonim Abrahamie”, Gdańsk 1989

10 Sejmie pruski
od 1890 postępując
gorąco i lud bronił od
zarazy Krzyżacki i tam
mie pruski Żandarmy
36 procesów politycznych
wytoczyli, tak że w
Żarnowcu powiecie Puckim
na wiecu 4 Żandarmów
i Wojt i Soltys w kajdanki
mie związały przed Oczyma
około 300 słuchaczy że
nie chciałem po niemiecku
przemawiać na wiecu
Kajdany rozewałem zato
dostałem się na 4 tygodnie
wjeżenia za opór Polacye
pruski w Redzie powiat
Wejrowski na zebraniu
Towarzystwa Ludowego
w zamknięciu kolku
wybili 4 Żandarmów
4 drzwi i Redski Wojt
mie 9 procesów witości,
w Chylonie 2 drzwi
mie Żandarmie wybili
i proces wytoczyli, przes
polityka traciłem swój
majątek i Chleb jest
swiatkiem Ks Kopczyński
w dużym Garczu pod
Pielpinem w roku 1919
byłem jako delegat
kaszubski wydelegowani
od rady Naczelnej z
Gdańska do Paryża

W Paryżu

Nie ma pewności, jaki był ostateczny skład delegacji kaszubskiej w Paryżu. Autorzy publikacji wymieniają różne nazwiska. Konradmiral Włodzimierz Steyer miał usłyszeć od Abrahama, że pojechał z Augustynem Konkolem z Nadola w powiecie wejherowskim. „Twierdził – zapisał konradmiral – że dzięki posiadanym przez tego dowodom, że jego ród siedzi na ziemi po zachodniej stronie Jeziora Żarnowieckiego od 700 lat, tak zaskoczył Wilsona, a także lekceważąco do Słowian usposobionego Celta Lloyd George’a, że ci od razu poprawili na mapie granicę za jeziorem, zgodnie z żądaniem Augustyna”. Potwierdził to Stanisław Dominik z Nadola, który opowiadał Józefowi Borzyszkowskiemu, że Konkol był w Wersalu i „walił pięścią w stół mówiąc, że Nadole musi być polskie”.

O wyprawie paryskiej inaczej pisze Pniewski i inaczej Bolduan. Oto cytaty z wersji pierwszej, bardziej bohaterskiej i powtarzanej w innych publikacjach. „Kiedy w rozmowie z Lloyd Georgem i Wilsonem zapytano ich podstępnie: »Czego wy chcecie, kiedy wasz rząd Pomorza się zrzekł?« – wtedy w pewnym momencie odpowiedzi Abraham uderzył pięścią w stół, wołając groźnie: »Pomorza nom ani kusi purtok zabrac ni może«. Zapewniał też, że on nigdy nie dopuści, żeby Pomorze pozostać miało przy Rzeszy. W takim razie na jego apel stanie 4000 Kaszubów, olbrzymów, jak on sam, i bez niczyjego poparcia, sami siłą zagarną Pomorze wraz z Gdańskiem dla Polski”.

Według Bolduana Abraham miał opowiadać, że w Paryżu spotykał się z bardzo ważnymi osobistościami, nie podawał jednak nazwisk. Józef Limbach natomiast zapisał w 1939 roku, że Abraham mówił mu o spotkaniu z Wilsonem, od którego wyszedł „spocony do ostatniej nitki”.

Kaszubi wystąpili przed Komisją do Spraw Polskich pod przewodnictwem Julesa Ambona, dowodząc polskości Pomorza oraz odpowiadając na pytania. Jeszcze podczas pobytu delegacji w Paryżu zapadły decyzje o utworzeniu Wolnego Miasta Gdańska i przeprowadzeniu plebiscytu na prawym brzegu Wisły, na Warmii i Górnym Śląsku.

Abrahama. Mieli najpierw udać się do Warszawy, a stamtąd do Paryża. Tymczasem granicę szczerze obsadzały oddziały grenzschutzu. Napięcia dodawało trwające w Wielkopolsce powstanie, natomiast w samym Gdańsku w dniu planowanego wyjazdu wybuchł strajk kolejarzy.

Otwarcie Tymczasowego Portu w Gdyni, rok 1923

Według Pniewskiego Miotk próbował sam przedrzeć się przez granicę, ale został zatrzymany przez Niemców. Podobnie nie powiodło się Marchlewskiemu. Tylko Abraham i Rogala przeszli szczęśliwie do Polski pod Grudziądem w grupie robotników rolnych, którzy udawali się do pracy. Według innej wersji dotarli do okopów powstańców wielkopolskich i stamtąd w asyście oficerów zostali dowiezieni do Poznania, a następnie do Warszawy. Jeszcze inną wersję przytacza Bolduan, podaje, że Abraham przekroczył granicę pod Grudziądem w żebraczym przebraniu i ze sztucznym garbem; utykając na jedną nogę przeszedł posterunki, legitymując się przepustką parobka, którego gospodarz miał część ziemi po drugiej stronie granicy.

W PARYŻU

Abraham i Rogala stanęli w Paryżu 18 kwietnia. Po kurtuazyjnej wizycie u Paderewskiego odwiedzali ambasady i redakcje największych dzienników, gdzie dowodzili polskości Pomorza i dementowali pogłoski, że Kaszubi są Niemcami. Mieli ze sobą cztery roczniki „Gryfa” redagowanego przez Aleksandra Majkowskiego, gdańską księgę adresową z 1914 roku, w której podkreślono przeszło 9250 nazwisk z końcówkami „-ski”, „-ki” oraz „-icz”, a także rezolucje oddziałów Towarzystwa Ludowego i rad ludowych, które domagały się przyłączenia Pomorza z Gdańskiem do Polski.

1 maja delegacja Kaszubów była już z powrotem w Warszawie. W dobrych nastrojach wracała w towarzystwie żołnierzy „błękitnej armii” generała Józefa Hallera. W drodze powrotnej Abraham pierwszy raz poczuł niedyspozycję spowodowaną dziwną dolegliwością, którą po kilku latach rozpoznano jako nowotwór żołądka.

W WOLNYM WEJHEROWIE I PUCKU

Delegaci wrócili na Pomorze przez zieloną granicę. Wkrótce Abraham znów krążył po Kaszubach. Tym razem widywano go z członkami Komisji Delimitacyjnej, która wytyczała granicę polsko-niemiecką i polsko-gdańską. Razem z innymi działaczami kaszubskimi przekonywał członków komisji do korekt korzystnych dla przygranicznych społeczności.

Aktywnie działał w Oliwie. W czerwcu pomagał w przygotowaniach do zabawy tanecznej, osobiście rozprowadzając bilety; jako aktor uczestniczył w próbach teatryku świetlicowego przy reaktywowanym Towarzystwie Ludowym „Jedność”; założył od-

dział Zjednoczenia Zawodowego Polskiego oraz zachęcał rodaków do głosowania na polskich kandydatów do oliwskiej Rady Gminnej w wyborach zapowiadanych na 14 grudnia. W Oliwie mieszkało więcej Niemców niż Polaków i dlatego w dwudziestoosobowej radzie polscy kandydaci wywalczyli tylko trzyosobową reprezentację. Byli to: ksiądz Wiktor Wysocki, przewodniczący Rady Ludowej Lehmann i Antoni Abraham.

Chociaż Abraham pogodził się z utratą Gdańska, kandydował do oliwskiej rady, wierząc, że przynajmniej Oliwa i Sopot zostaną włączone do Polski. Dużo sobie obiecywał po wkroczeniu na Pomorze wojsk generała Hallera. Uroczyste powitanie hallerczyków zaplanowano na 10 lutego 1920 roku w Wejherowie. Stamtąd wojsko i goście mieli udać się do Pucka na ceremonię zaślubin z morzem. Podkomisariat Naczelnej Rady Ludowej zlecił Abrahamowi przygotowanie uroczystości w Wejherowie, mieście wówczas bardzo zniemczonym. Chodził zatem od domu do domu, szukając Polaków i przekonując do udziału w uroczystościach. Kiedy przemawiał do hallerczyków wzruszenie odbierało mu mowę. Kilka razy wydobywał z kieszeni szneptuch, by





FOTO ZBIÓR: MUZEUM MIASTA GDYNI

otrzyć łzy. Całe życie czekał na tę chwilę. Prawdopodobnie był świadkiem dymisji niemieckiej administracji i przekazania władzy polskim urzędnikom.

Podobno podczas uroczystości w Pucku Abraham poczęstował Hallera tabaką. Generał zażył ostrożnie szczyptę i uraczył nią swoją świtę. Do końca uroczystości oficerowie odwracali się na widok Abrahama i tabakiery. Czy to prawda? Sam Haller w swojej biografii nie wspomina słowem o Abrahamie. Nie można wykluczyć, że Abraham do Pucka już nie pojechał i pozostał w Wejherowie. Choroba coraz dotkliwiej dawała się we znaki, a pogoda tego dnia była wyjątkowo brzydka.

WYBRAŁ POLSKĘ

Abraham boleśnie odczuwał różnicę nastrojów, które panowały na terytoriach odzyskiwanych przez Polskę oraz w Gdańsku, Oliwie i Sopocie. Na wiecu w Oliwie nie mógł opanować drżenia i furii w głosie, kiedy wykrzykiwał pod adresem gdańskich Niemców oskarżenia o współpracę z bolszewicką Rosją. Chodziło o udaremnienie przez gdańskich portowców i kolejarzy przeładunku broni, na którą czekali nasi żołnierze na froncie wojny polsko-bolszewickiej.

Pomorzanie wystawili dwanaście tysięcy ochotników gotowych bronić ojczyzny przed komunistyczną nawałą. Przed komisję wojskową stawiał się również pięćdziesięcioletni Abraham, ale go nie przyjęto z uwagi na zdrowie. By nie czuł się niepotrzebny, zaproponowano mu posadę w administracji państwowej, ale się obruzył: „Chcę być wolnym człowiekiem, a nie zależnym urzędnikiem, przytem urzędnikiem darmozjadem. Przecież za mało mam nauki”.

Siłowe rozwiązanie

Czy było rzeczywiście możliwe? Według córki Aleksandra Majkowskiego, Damorki Majkowskiej, jej ojciec, jako prezes Rady Ludowej na powiat wejherowski miał „pod swoją władzą znaczną siłę zbrojną, w tym 100 podoficerów. Oficjalnie pełnili oni funkcje strażników lasów i byli płatni przez powiat. Majkowski rwał się do czynu. Wyzначyl nawet termin powstania, które miało się rozpocząć w lasach wejherowskich, spotkał się jednak z kategorycznym sprzeciwem (...) i został zmuszony do opuszczenia Rady Ludowej”.

10 sierpnia 1920 roku Abraham zamieszkał z żoną w Gdyni przy Starowiejskiej 30 w ceglany domku rodziny Skwierczów, nazywanym dzisiaj Domkiem Abrahama (oddział Muzeum Miasta Gdyni). Przypuszczalnie dołączyła do nich córka Julianna, wdowa po Teofilu Okoniu. Nie znalazłszy pracy w Gdyni, Abraham zatrudnił się jak niegdyś w Pucku u Bazylego Adolpha jako kierownik wędzarni. Pewnie nie zarabiał dużo, skoro żona z córką zajęły się handlem rybami. Niemal natychmiast włączył się w życie publiczne. Wybrany do Rady Gminnej wspierał inicjatywy wójta Jana Radtkego, które miały przyspieszyć przekształcenie gdyńskiej wsi w konkurencyjne dla Gdańska miasto portowe.

NIE TAK MIAŁO BYĆ

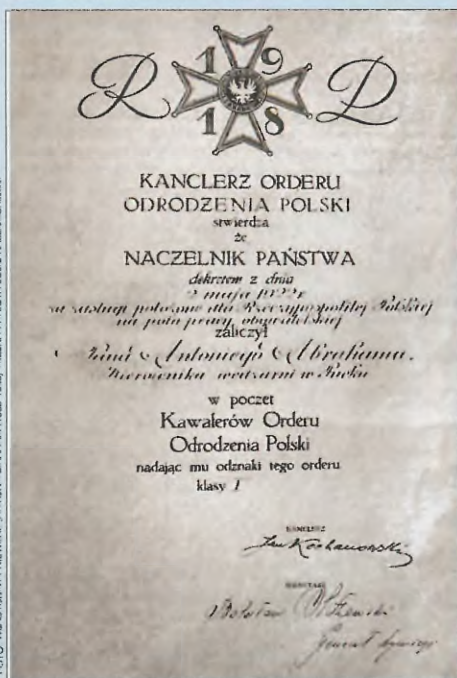
Po ustaleniu granicy państwowej i powołaniu administracji polskiej nowa rzeczywistość zaczęła się rysować inaczej, niż Abraham sobie wymarzył. Jasny podział na dobrych Polaków i złych Niemców ustąpił przed nowymi podziałami, które były dla niego mniej czytelne. Rodacy okazywali się nie tak szlachetni i zgodni, jak jawili się w latach niewoli. Prostolinijny Abraham nie umiał się odnaleźć w takim świecie. Kiedy

ruszyła budowa gdyńskiego portu, z całej Polski zaczęli zjeżdżać ludzie w poszukiwaniu pracy i spokojną dotąd wsią raz po raz zaczęły wstrząsać strajki i demonstracje.

Stara Rada Gminna nie radziła sobie z zachodzącymi zmianami i poszerzyła skład. Spokojne dawniej zebrania przekształcały się w kłótnie. Własny interes albo interes partii stawał się ważniejszy od dobra wspólnego. Abraham nie godził się na to i zaczął opuszczać zebrania. Spotykał się z wycieczkami odwiedzającymi polskie morze, był częstym gościem na terenie budującego się portu. Czuł się działaczem starej epoki, nie pasował do nowych realiów i układów.

Często widywał się ze Stefanem Żeromskim podczas pobytów pisarza nad morzem i wyczuwał go na krzywdę Kaszubów. Użalał się na przysyłanych przez administrację państwową urzędników, mówił o najeździe hochsztaplerów, którzy nie szanują zasad i budują własne kariery z częstym omijaniem prawa. Bywał też gościem gospody „Pod Dębem” przy ulicy Portowej, gdzie prowadził długie rozmowy z miejscowymi Kaszubami.

„Żeby ja tak miał więcej szkoły” – wzdychał nieraz. Odczuwając swoje braki w edukacji zapisał się na kursy dokształcające, prowadzone przez gdyńskiego nauczyciela Jana Kamrowskiego i zachęcał Kaszubów, by posyłali dzieci do szkół, bo tylko to



uchroni je przed całkowitym uzależnieniem od przysyłanych z kraju urzędników, którzy nie rozumieją miejscowej kultury i mentalności.

KAWALER ORDERU

W marcu 1922 roku Abraham przewodził grupie Kaszubów w wycieczce po Polsce. Na trasie znalazła się Warszawa, Częstochowa, Kraków i Górny Śląsk. W sto-

Dekret przyznający kierownikowi wędzarni w Pucku tytuł kawalera Orderu Odrodzenia Polski

licy zostali przyjęci przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, który zaszczylił Abrahama dłuższą rozmową. W wystąpieniu „kaszubskiego króla” pobrzmiwała nuta żalu, kiedy mówił o porządkach nie takich, jakich oczekiwali wierni Polsce Kaszubi. Następnego dnia przemawiał płomiennie z balkonu Teatru Wielkiego do publiczności, która przyszła powitać kaszubską delegację. Trzeci raz miał wystąpienie na bankiecie wydanym na cześć Kaszubów z udziałem członków rządu.

W Częstochowie paulini opiekujący się sanktuarium poprosili kaszubskich gości o wpis w księdze pamiątkowej. Abraham długo ją wertował i odczytywał nazwiska wielkich tego świata. Na jednej z kart, w górnym rogu, dostrzegł autograf cesarza Wilhelma II, niżej było puste miejsce, a na samym dole podpisy cesarskiej świty. Po namyśle wziął pióro i naskrobał tuż pod autografem monarchy: „Antoni Abraham – Kaszuba”, niżej podpisali się pozostali uczestnicy wycieczki. W drodze powrotnej kolejny raz odezwała się choroba.

2 maja 1922 roku kierownik wędzarni Antoni Abraham znów był w Warszawie, gdzie



FOTO: ZBIÓR MUZEUM MIASTA GDYŃ

Fragment pomnika Antoniego Abrahama w Pucku

odebrał z rąk prezydenta krzyż Orderu Odrodzenia Polski I klasy za „zasługi położone dla Rzeczypospolitej Polskiej na polu pracy obywatelskiej”. W tym samym miesiącu wyruszył ostatni raz z kompanią oliwską na Kalwarię Wejherowską. Tradycyjnie przemawiał na początku drogi i w Wejherowie. Niezadowolonym z przemian po 1918 roku zwracał uwagę, że już od kilku lat nie muszą oglądać na kalwarii żandarmów w pikietach, bo zastąpili ich przyjaźni wojacy w rogatywkach.

Schorowany Abraham włączył się w przygotowania do uroczystego otwarcia Tymczasowego Portu. W słoneczny dzień 29 kwietnia 1923 roku razem z wójtem Janem Radtke witał na gdyńskim dworcu kolejowym prezydenta Stanisława Wojciechowskiego z towarzyszącymi mu premierem Sikorskim, prymasem Dalborem, marszałkiem Senatu Trapezyńskim, marszałkiem Sejmu Ratajem i ministrem wojny Sosnowskim. Po uroczystościach opływał z prezydentem port na kanonierce „Komendant Pilsudski”.

Podczas tego rejsu kolejny raz zasnął. Zebrał jednak siły i już wieczorem widziano go, jak wesoło usposobiony przechadzał się



FOTO: TADEUSZ T. GLUSKO

po oświetlonym molu spacerowym. Spotkał tam znajomego młodzieńca, Abdona Strysza, którego klepnął ciężką ręką w plecy i zawołał: „Krzyż, knopie, niech żyje Polska!”.

Prezydent udał się na północ Kaszub, skąd miał wracać do stolicy bez zatrzymywania się w Gdyni. W Żarnowcu zaplanował jeszcze jedno spotkanie z Abrahamem, który miał opowiedzieć o utarczках, jakie tam prowadził z pruskimi żandarmami i o walce z Komisją Delimitacyjną o przebieg granicy. Jednak popsuł się samochód, który miał dowieźć Abrahama. Na wieść o tym prezydent kazał w drodze powrotnej zatrzymać pociąg w Gdyni i tam się pożegnał z „kaszubskim królem”. Abraham długo stał na peronie zapatrzonny w znikający pociąg.

EPILOG

Było to chyba ostatnie publiczne wystąpienie Abrahama. Wyczerpany chorobą polegiwał całe dnie w łóżku. Nie miał sił, by dojeżdżać do puckiej wędzarni. Żył z tego, co zarobiła Matylda z córką. Sprowadzony przez wójta lekarz Skowroński stwierdził nowotwór żołądka z przerzutami. Radtke z poparciem Rady wystąpił do prezydenta Wojciechowskiego o jednorazową zapomogę na leczenie Abrahama. Pomoc przyszła na początku czerwca w wysokości miliona marek polskich. Ale żadna suma nie mogła zatrzymać choroby. 23 czerwca 1923 roku kwadrans po dziewiątej rano Antoni Abraham zmarł w swoim mieszkaniu.

Świadkiem jego odejścia był zięć, drukarz Paweł Jakubowski, mąż Małgorzaty.

Ostatnia droga Abrahama, kondukt pogrzebowy na ulicy Starowiejskiej przy kaplicy sióstr Miłosierdzia św. Wincentego á Paulo

To on dwa dni później zawiadomił o śmierci Abrahama gdyński Urząd Stanu Cywilnego. „Kaszubski król” spoczął na oksyńskim cmentarzu. Jego pogrzeb przerodził się w wielką manifestację patriotyczną. Spoczywa w jednej mogile z żoną, która zmarła niecały rok po nim.

Feliks Marszałkowski z Kartuz, którego teść widywał Abrahama w ostatnich latach jego życia, wspominał Tadeuszowi Bolduanowi, że Tóńy przed śmiercią bardzo narzekał „na Pólską”. Ale miał też lepsze chwile, jak wtedy na molo, kiedy klepał po ramieniu Abdona i zawołał: „Krzyż, knopie, niech żyje Polska!”.

WYKORZYSTANO.

Bolduan Tadeusz, „Trybun Kaszubów. Opowieść o Antonim Abrahamie”, Gdańsk 1989,

Borzyszkowski Józef, „Nadole. Przeszłość wsi w pamięci jej mieszkańców”, Gdańsk 1977,

Limbach Józef, „Wielki patriota kaszubski – Antoni Abraham”, [w.] „Monografia Wielkiego Pomorza i Gdyni z okazji 20-lecia powrotu Ziemi Pomorskiej do Macierzy”, Toruń-Lwów 1939,

Majkowska Damorka, Wstęp [w.] Majkowski Aleksander, „Pomorzanie”, Gdańsk 1973,

Pniewski Władysław, „Antoni Abraham (1869-1923) wielki patriota ludu kaszubskiego”, Warszawa 1936,

Rembalski Tomasz, „Antoni Abraham (1869-1923)”, tekst z wystawy „Zanim powstało miasto. Gdynia i jej mieszkańcy przed 1926 rokiem”, w opracowaniu T. Rembalskiego i M. Markowskiej, prezentowanej w „Domku Abrahama” od września 2007 do maja 2009,

Steyer Włodzimierz, „Każdy Kaszuba jest marynarzem”, „Kaszebe” 2/1957,

Stryszak Abdon, „Wspomnienia o dawnej Gdyni”, „Pomerania” 8-9/1981.



OD RYNKU

Tekst: Sławomir Kościelak



Czym niegdyś była ulica Partyzantów – Mirachauer-Weg? Połną drogą, pełnym poezji traktem nad rwącym strumieniem o bardzo podmiejskim wyglądzie. Czym jest obecnie? Ulicą pełną kontrastów, nadgryzionych zębem czasu kamienic, niknących ruder, nowoczesnych centrów handlowych, biurowców i apartamentowców. Czym będzie w przyszłości? W jednej ze swych części jeszcze nie do końca nazwanym elementem supernowoczesnej trasy Słowackiego, w innej wysepką wrzeszczańskich wysokościorców.

Droga wiodąca ku Brętowu (a także Srebrzysku) nie była nigdy zbyt ważna z punktu widzenia układu dróg w okolicach Gdańska. Zaslugała co najwyżej na miano skrótu do Brętowa. Jednak powiązana z głównym traktem z Gdańska do Oliwy w samym środku Wrzeszcza, w miejscu, w którym schodziły się promieniście także inne trakty (ten ku Pieckom i Migowu przez Jaśkową Dolinę, a także ten ku Zaspie przez Kuźniczki) przyczyniła się wydatnie do wyodrębnienia wrzeszczańskiego rynku. Jerzy Stankiewicz

Plan przedmieść Strzyża Górna, Srebrzysko, Brętowo z 1801 roku. Na mapie wyraźnie widoczny odcinek drogi – przyszłej ulicy Partyzantów – między zabudowaniami Srebrzyska i zespołem dworsko-parkowym Strzyży Górnej

FOTO: ZBIORY ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO W GDAŃSKU

DO SREBRZYSKA

Ulica Partyzantów od centrum Wrzeszcza po Brętowo

wskazuje, że pojawiła się na kartach wielkiej historii Gdańska na przełomie XVI i XVII stulecia. Młyny (kuźnice) Brętowa i Strzyży Górnej rozwinęły się znacznie w pierwszej połowie XVII wieku. Posiadłość w Srebrzysku (w rejonie dzisiejszej Słowackiego 70) wyodrębniono w roku 1654 jako grunt gdańskiego złotnika, Piotra von Rennen, którego dzieł (a był jednym z twórców gnieźnieńskiego srebrnego sarkofagu św. Wojciecha) nie trzeba rekomendować. Kilka lat później, na skutek wydarzeń szwedzkiego „potopu” i srogich spustoszeń, jakich dokonali w sąsiedztwie Gdańska Szwedzi, von Rennen pozbył się dworu i „srebrnej” kuźnicy. Ten epizod zaważył jednak na utrwaleniu się tej nazwy po dziś dzień.

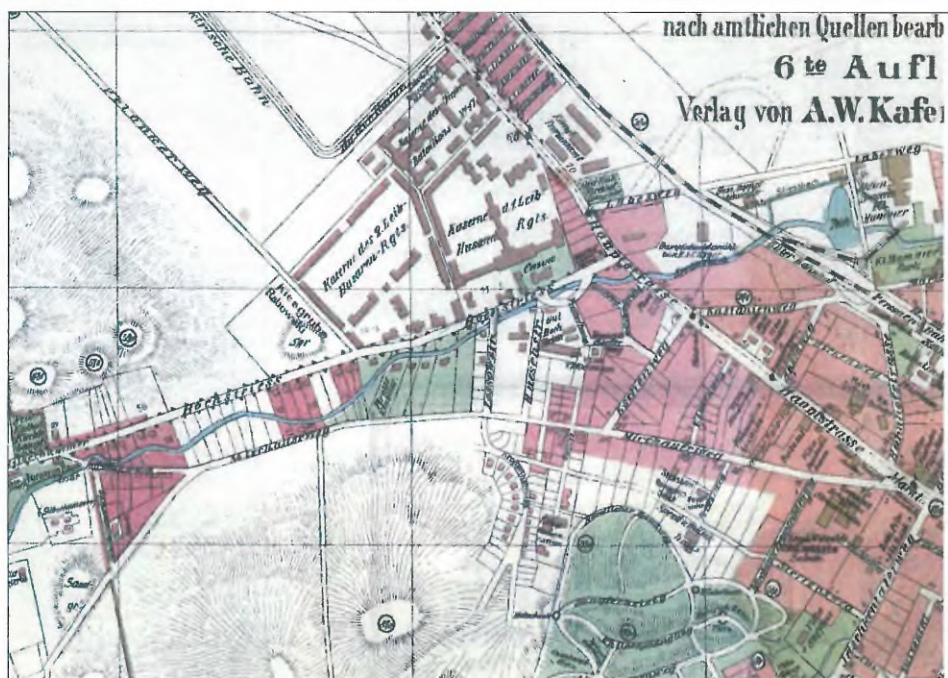
Jeżeli więc już wówczas doszło do wyodrębnienia dodatkowego, biegnącego równolegle do południowego brzegu Strzyży traktu, to dla rysujących okolice Gdańska (i Wrzeszcza) kartografów był to fakt bez większego znaczenia. Srebrzysko, Brętowo leżały wszak na krawędzi „gdańskiego” świata, może niezupełnie tam gdzie „pieprz rośnie”, ale tam gdzie najczęściej umieszcza się ozdobniki i uwagi. Dopiero skrupulatny i dokładny pruski kartograf Matthias sporządził plan Wrzeszcza, na którym przyszła Mirchauer-Weg (Partyzantów), zajęła należną jej pozycję, wybiegając pod skosem z południowo-zachodniego narożnika Rynku. I plan ten odkrywał od razu „smutną” prawdę o znaczeniu arterii. Tylko w jej północnej pierzei (ale blisko Rynku) stały dwa dość od siebie oddalone budynki, niekoniecznie mieszkalne. Wszystkie pozostałe parcele, choć w większości ponumerowane, były puste.

Niezanego autorstwa plan przedmieść Gdańska z początku XIX wieku, dotyczący osad skupionych nad nurtem Strzyży u stóp Oliwskiego Lasu, pokazywał ją jako zupełnie pustą, polną drogę, biegnącą równolegle do rzeczki w bliskości leśnych wzgórz. Jej środkowy odcinek, w rejonie wsi Strzyża Górna (czyli gdzieś na wysokości dzisiejszej Chrzanowskiego/Słowackiego) musiał się przedstawiać szczególnie malowniczo. W tym miejscu leśne wzgórza zbliżały się najbardziej do nurtu rzeczki, która tutaj rozlewała się w rozległy staw, nad którym rozciągał się przylegający do drogi ogród.

Piękniała i potęgniała także posiadłość w Srebrzysku. W drugiej połowie XVIII wieku nabył ją obywatel gdański Fabian Ludwik Gorzuchowski, a po nim świeżo osiedlony w Gdańsku angielski kupiec Richard Cowle, któremu w 1807 roku władze francuskie na pewien czas skonfisko-



FOTO: MACIEJ KOSTYCAZ / KFP



Plan Wrzeszcza z 1913 roku z wyeksponowaną zabudową przy Mirchauer-Weg, niżej ten sam rejon Wrzeszcza na planie z 1958 roku



wały posiadłość. Stale działał w tym majątku młyn i zakład przemysłowy, dla którego siłą napędową była Strzyża. Ale to była jedna część mająteczku. W tej drugiej – dworsko-parkowej – cieszył oko piękny letni pałacyk, który tuż po napoleońskim epizodzie nabył graf Fabian zu Dohna auf Finkenstein. To jego gościem był inny niemiecki arystokrata, zarazem wybitny romantyczny poeta i pisarz Joseph hrabia von Eichendorf.

Przez trzy lata (1821-1824) dwór w Srebrzysku był dla niego i jego rodziny letnią siedzibą pod Gdańskiem, miejscem, z którego czynił wypady po okolicy, po wzgórzach i morenowych dolinach. Gdy jeździł do miasta, jego powóz zapewne toczył się po polnym trakcie nad Strzyżą. Zainspirowany pięknymi krajobrazami, w Gdańsku napisał garść wierszy (między innymi pieśni wędrowne, biesiadne) i chyba najbardziej znane swoje opowiadanie, „Z życia nicponia”. Rozdział drugi tej nowelki, której akcja toczy się w austriackim Tyrolu, rozpoczynał się od słów: „Bezpośrednio wzdłuż dworskiego ogrodu biegł gościniec, oddzielony odeń tylko wysokim murem. Był tam wzniesiony całkiem schludny domek strażniczy z czerwonym ceglany dachem, a za nim mały, różnobarwny ogródek kwiatowy, dobrze widoczny przez wyłom w murze zamkowego ogrodu, przez który rozciągał się widok na najbardziej ocienioną i najskrytszą jego przestrzeń”. Czy zdanie to von Eichendorf wymyślił, spoglą-

Zajezdnia tramwajowa przy Partyzantów, stan z 1934 roku



FOTO: S. BUFE "STRASSENBAHNEN IN OST- UND WESTPREUSSEN"

Dworek w Srebrzysku, w którym bywał niemiecki romantyk, Joseph hrabia von Eichendorff, stan z ok. 1920 roku

dając na przylegający do „naszej” drogi parkowy ogród Strzyży Górnej?

Zwykła polna droga zaczęła przeobrażać się – wraz z całym Wrzeszczem – dopiero od połowy XIX wieku. Jeszcze na planie Hildebrandta z 1865 roku zabudowa jest przy niej rzadka, nadal tylko przy północnej pierzei, a całą przestrzeń na południe od niej, aż niemal po Rynek, wypełniała rozległa parcela, własność niejakiego Seiferta. W większości puste jeszcze grunty Martinsów, Gerlachów i Baumów wypełniały „trójkąt” między głównym traktem, Rynkiem i przyszlą Partyzantów, która na tym właśnie planie po raz pierwszy została nazwana Mirchauer-Weg, czyli Mirachowską. Dlaczego Mirachowska? Trakt był przecież skrótem z Wrzeszcza prosto do Brętowa, a biegnąca przez Brętowo szosa (czyli dzisiejsza ulica Słowackiego) zmierzała prosto na Kaszuby. W samym środku Kaszubskiego Pojezierza znajduje się wieś Mirachowo, dziś cokolwiek zapomniana, żyjąca w cieniu takich prężnych osad, jak Chmielno, Sierakowice, czy Sianowo. Ale w czasach staropolskich była to siedziba niegrodowego starostwa, a przez to niemal stołeczny ośrodek środkowej części regionu.

Wkrótce do Wrzeszcza zawitały tramwaje i historia tego zakątka uległa wyraźnemu



FOTO: ZBORY PRYWATNE

przyspieszeniu. W 1872 roku powstała pierwsza linia konnego tramwaju z Gdańska do Oliwy. Jeden z przystanków wypadł dokładnie na wrzeszczańskim Rynku. Gdy dwa lata później skasowano odcinek z Wrzeszcza do Oliwy, w pobliżu Rynku wybudowano zajezdnię tramwajową, lokalizując ją w początkowym odcinku dzisiejszej ulicy Partyzantów, na wykupionym od Seifertów polu. Zajezdnia służyła aż do lat trzydziestych XX wieku, gdy wzniesiono nowy duży zakład taboru przy dzisiejszej Wita Stwosza. Nawet po likwidacji tramwajowej bocznicy stare warsztaty pozostały w gestii zakładu miejskiej komunikacji, jako jej zaplecze samochodowe (a potem autobusowe).

W ostatnim ćwierćwieczu XIX wieku od strony południowej pojawiła się niska zabudowa wolnostojących, jednopiętrowych domków, które bardziej przypominały wiejskie chałupy, aniżeli czynszową zabudowę, parę kroków dalej, przy Rynku – już całkiem imponującą i wielkomiejską. Pomiędzy 1890 a 1895 rokiem pojawiły się biegnące ku niej przecznice, dzisiaj noszące miano Matki Polki, de Gaulle'a i Jesionowej. Około 1912 dołączyła do niej urokliwa i willowa dzisiejsza Podleśna, z jednorodinnymi domkami

Wrzeszczański „Manhattan” u zbiegu Grunwaldzkiej i Partyzantów u progu transformacji ustrojowej po 1989 roku



FOTO: ZBIGNIEW KOSYŃCZAK / ARCHIWUM KEP

Budynek przy ul. Partyzantów 6, przed 1994, zanim stał się siedzibą restauracji Mc Donald's

zbudowanymi specjalnie dla gdańskich urzędników i inteligencji. W pierwszym pięcioleciu XX wieku zabudowano także kwartał między dzisiejszymi ulicami Partyzantów, Słowackiego i Jesionową, w tym również całą północną pierzeję Mirachowskiej. Jeśli dodamy do tego oddaną do użytku w lipcu 1909 roku nową strażnicę zawodowej straży pożarnej przy pobliskiej Sosnowej, a zaraz obok kompleks zakładu oczyszczania miasta pod numerem Mirchauer Weg 36 (znajduje się tam do dziś, choć oczywiście pod innym szyldem: Zakładu Dróg i Zieleni, którego budynek biurowy zachował kształt eleganckiej willi z początku XX wieku), do tego jeszcze gruntowną przebudowę wrzeszczańskiego Rynku w latach 1909-1910, diametralnie odmieniającą jego pierzeję między wylotami Jaśkowej Doliny i Partyzantów, można uznać, że początkowy odcinek Mirachowskiego traktu uzyskał niemal ostateczny kształt.

Spadziste dachy jednoklatkowych wolnostojących budynków z poprzedniej epoki stały naprzeciwko zgrabnych eklektycznych kamieniczek, zdobniejszych bliżej rynku (np. domy o numerach 15, 17b), solidnych, prostych, acz nie pozbawionych uroku w części środkowej ulicy (dziś swoiste „zwężenie” tego

traktu między kamienicami o numerach 51-57 z północnej i 54-58 z południowej strony ulicy). W wielu miejscach zabudowa wkraczała w głąb podwórzy, dziedzińców, ogrodów. Mirchauer-Weg sięgał np. po ogród na tyłach willi niemieckiego następcy tronu.

Na drugim krańcu traktu, w obrębie dawnej posiadłości Srebrzysko, również powstała zabudowa czynszowa, ale o znacznie niższym standardzie. Ciąg jednopiętrowych kamieniczek i budynków wolnostojących za-

pełniał obie strony brukowanej kanciastymi kocimi łbami ulicy. Tyle tylko, że nosiła ona miano inne – Brentauer Weg, a więc ulicy Brętowskiej. Na użytek zamieszkującej kwartał robotniczej ludności w sąsiedztwie powstała szkoła elementarna przy dzisiejszej Srebrniki 3. Zakład opieki społecznej

Pawilonowy „Manhattan” z wysokości wrzeszczańskiego „Olimpu” (czyli restauracji na szczycie budynku), 2001



FOTO: MACIEJ KOSYŃCZAK / KFP



FOTO: MACIEJ KOSYŃCZAK / KFP



Po lewej: Tak obecnie wygląda synagoga (przed remontem, a po opuszczeniu budynku przez szkołę muzyczną); po prawej: tyle pozostało z murów dawnej zajezdni tramwajowej, a potem hali centrum handlowego w listopadzie 2009 roku. W tym miejscu staną być może „Quattro Towers”

(dziś szpital psychiatryczny) zastąpił dawne dworskie zabudowania Srebrzyska. Już w okresie międzywojennym okolicę ożywiło – jeśli tak można powiedzieć – umieszczenie tu centralnego cmentarza komunalnego.

Początkowy odcinek Partyzantów w sąsiedztwie będącego w budowie centrum „Manhattan”, 2002

Kształt ostateczny ulica przybrała wraz ze wzniesieniem (pod numerem 7) Nowej Synagogi. Żydzi mieszkali we Wrzeszczu już pod koniec XVII wieku, a pod koniec XVIII dysponowali własną, drewnianą synagogą, na planie Matthiasa umiejscowioną na zapleczu wrzeszczańskiego dworu, a więc gdzieś bliżej dzisiejszej Dmowskiego. Ten budynek zniknął jeszcze w czasie wojen napoleońskich,

a Żydzi długi czas nie tworzyli we Wrzeszczu większej wspólnoty. Dopiero kiedy powstało drugie Wolne Miasto, napłynęła tu nowa fala ludności żydowskiej, a założone w 1924 roku wrzeszczańskie Stowarzyszenie Synagogalne wystarczyło się o zgodę, odpowiednią parcelę i wzniesienie modlitownego budynku. Do Mirchauer Weg synagoga stała tyłem, gdyż względy religijne nakazywały usytuować



FOTO: SŁAWOMIR KOŚCIELAK



Nowa siedziba Zespołu Szkół Muzycznych w budynku po dawnej Poradni Rentgenologicznej przy Partyzantów 21A, 2009

jej fronton od strony podwórza. Otwarto ją 25 września 1927 roku, a wydarzeniu temu nadano odpowiednią uroczystą oprawę.

Nowa Synagoga, w przeciwieństwie do pozostałych gdańskich bóżnic, przetrwała czasy hitlerowskie i po wojennej przerwie

funkcjonowała jeszcze do 1951 roku. Potem przejęły ją władze państwowe i przez następne półwiecze służyła średniej szkole muzycznej. W 1999 roku ponownie przyjęła w swe mury żydowską salę modłów, a po kolejnych kilku latach (2007/2008) szkoła wyprowadziła się ostatecznie do nowego lokum (też przy Partyzantów pod numerem 21 A), gdzie muzyków umieszczono w pięknej willi, w której wcześniej mieściła się Poradnia

Rentgenologiczna Wojewódzkiego Szpitala Przeciwniegruźliczego.

Wojna obeszła się z naszą ulicą stosunkowo łaskawie. Można oczywiście wyliczyć miejsca, w których po 1945 roku trzeba było na nowo odtwarzać zabudowę. Zwłaszcza okolice rynku, następnie budynki w sąsiedztwie synagogi, (przed i za nią w ciągu północnej pierzei), budynki opodal willi kronprinza wymagały budowy od podstaw. Ucierpiały wspomniane zakłady komunalne. Ale poza tym ulica, której od samego początku powojennej historii miasta nadano „wojenne” miano Partyzantów (i to łącznie z osobną niegdyś Brentauer-Weg), nie zmieniła swojego charakteru – rezerwaru starej miejskiej, niszczonej przez lata zaniedbań zabudowy.

Wiele się działo w samym centrum Wrzeszcza, tam gdzie Partyzantów stykała się z aleją Grunwaldzką. W 1970 roku powstał „dolarowiec”, pierwszy i jak dotąd jedyny wrzeszczański wysokościowiec, a zaraz potem supersam PSS Społem (dziś firmy „Zatoka”), którego jedno z wejść/wyjść znalazło się przy ulicy Partyzantów. Na wysokości dawnej tramwajowej, a potem autobusowej zajezdni ulokowano centralny przystanek dla wszystkich linii auto-



FOTO: SŁAWOMIR KOŚCIELAK

Budynek mieszkalny przy ul. Partyzantów 28 tuż przed rozbiórką, 1994



FOTO: SŁAWOMIR KOŚCIELAK

busowych odjeżdżających w stronę Brętowa i Firogi. Przez dziesięciolecia autobusy dojeżdżały ciasną i wąską ulicą Partyzantów aż do Obywatelskiej i dopiero wtedy skręcały w ulicę Słowackiego. Na początku lat osiemdziesiątych została już tylko jedna linia – „116”, zmierzająca niezmiennie do Nowca. W końcu i ta – u progu wielkich przemian dotyczących tego rejonu, a związanych z okresem transformacji ustrojowej (czyli tuż po 1992) – została „zdejta” z ciągu ulicy.

Byłoby oczywiście daleko posuniętym fałszem i nietaktem głosić, że za „komuny” na Partyzantów nic, ale to zupełnie nie się działo. Niezabudowany w wielu miejscach, malowniczo nad meandrami Strzyży położony teren był wymarzoną miejscem mieszkaniowych lokalizacji. Bokiem do ulicy, ale tuż przy jej jezdni, stały – zaliczone do równoległej ulicy Batorego – bloki Lokatorsko-Własnościowej Spółdzielni Mieszkaniowej „Wrzeszcz” (tzw. osiedle Batorego). W początku lat sześćdziesiątych XX wieku wybudowano czteropiętrowe bloki nad Strzyżą, opatrzone numerami Partyzantów 91-101 oraz 103-109 (te ostatnie zostały pięknie zmodernizowane w latach dziewięćdziesiątych). Po przeciwległej stronie ulicy ulokowały się

kolejne zakłady o charakterze komunalnym, między innymi Zakład Transportu Samochodowego (pod numerem 70), Miejski Zakład Dróg i Mostów (numer 72 – dziś w znacznej części pod tym numerem mieści się biuro Transprojektu Gdańskiego), Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej (dziś filia Urzędu Miejskiego pod numerem 74), wreszcie zakład usług pogrzebowych (obecnie pod nazwą „Zieleń” Sp. z o.o. pod numerem 76).

Kwartal starej, niszczonej zabudowy czynszowej na rogu Partyzantów i Topolowej, 2009

Alle tego, co się wydarzy z ulicą Partyzantów, zwłaszcza z jej początkowym fragmentem, gdy nastąpią w Polsce burzliwe przemiany gospodarki rynkowej, nikt tak do końca nie przewidywał. A więc, najpierw z łóżek polowych i „szczekowych” stoisk pionierów wolnego, nieskrępowanego



FOTO: SŁAWOMIR KOŚCIELAK

Budynek służył niegdyś Zakładowi Oczyszczania Miasta, a obecnie Przedsiębiorstwu Dróg i Zieleni, 2009



FOTO: ANNA KOŚCIELAK

handlu podniosły się całkiem zgrabne i regularnie posadowione względem siebie parterowe pawilony „Manhattanu”, a obok – w budynkach dawnej zajezdni – umieszczono drugą część nowego wrzeszczańskiego centrum handlowego (między innymi hala „Sukces”). Gdański „Manhattan” stał dokładnie u zbiegu Grunwaldzkiej i Partyzantów i skupił uwagę licznych klientów. Później zabytkowy, samotny jak palec (i do tego momentu niezbyt ładnie się prezentujący) budynek z czerwonej cegły, opatrzony numerem Partyzantów 6, zamienił się w nowoczesną „fast-foodową” restaurację Mc Donald’s (1994). W tym samym czasie do użytku oddany został pawilon pod numerem 40, który w gazetach okrzyknięto

Tyle zostało z parkowego zespołu Strżyż Górną w środkowym biegu ulicy Partyzantów, 2009

jako przykład „sorealizmu w kapitalizmie”, ganiąc jego cokolwiek dziwaczny wygląd. Wkrótce zniknęły też walące się rudery na rogu ulicy Sosnowej i Partyzantów (numery 28 i 30). Tę pierwszą rozebrano w 1994 roku, druga sama spłonęła – w 1997.

W tym samym 1997 roku zaczęto przebąkiwać o zamierzonej przebudowie wzniesionego wysiłkiem kilkuset kupców „Manhattanu” pawilonowego w nowy „Manhattan” – wielopiętrowy, ze szkła i stali. Budowa nowego centrum handlowo-usługowego ruszyła ostatecznie w lipcu 2001 roku. A potem zniknął stary, biegnący pod skosem wlot ulicy Partyzantów do Grunwaldzkiej i wybudowano dwa nowe odcinki tej ulicy – jeden prostopadły do Grunwaldzkiej, drugi za nowym budynkiem centrum, wychodzący na Jaśkową Dolinę. Centrum oddano do użytku w marcu 2004 roku. Już niemal w ostatnich

Ostatni odcinek ulicy Partyzantów (dawna Brentauer-Weg) w granicach Srebrzyska. Już wkrótce przejdzie tędy jedna z jezdni tzw. nowej Słowackiego, 2009

czasach, w 2008 roku, pod numerem Partyzantów 72, a więc bliżej Srebrzyska, powstał kompleks mieszkalny „Zabytkowa” (na rogu ulicy o tej właśnie nazwie).

Najnowszy rozdział historii ulicy Partyzantów zostanie napisany na naszych oczach w najbliższych kilkudziesięciu miesiącach. Już w listopadzie ruszyła (aczkolwiek powoli i nie bez towarzyszących jej kontrowersji i sporów) budowa „Quattro Towers”, czterech bliźniaczych, szesnastopiętrowych wieżowców, które dołączą do stojącego dotąd w pojedynkę „Olimpu”. Z punktu widzenia inwestycyjnego ich lokalizacja jest idealna: wyposażone we własne centrum handlowo-usługowe w parterze i podziemny parking, zostaną zbudowane w miejscu dawnej zajezdni, na placu po zlikwidowanej już hali „Sukces”, a więc w samym środku Wrzeszcza. Gdy staną, stworzą bardziej prawdziwy gdański „Manhattan”, posadowiony obok galerii handlowej, która do dziś nosi tę dumną – aczkolwiek nie bez pewnej autoironii nadaną – nazwę.

Na drugim krańcu Partyzantów już ruszyły wielkie wyburzenia: znikają kamieniczki opatrzone numerami 108-118, bo pójdzie tędy – od stóp apartamentowców Brętowskiej Bramy – tzw. nowa Słowackiego, która będzie elementem oczekiwanej na mistrzostwa EURO 2012 trasy imienia naszego Drugiego Wieszcza. W rejonie ogródków wypełniających dziś miejsce po „Eichendorfskim” (?) widoku na Strżyż Górną, zejdzie ona ku „starej” ulicy Słowackiego.

I – jeśli to się uda – będzie to prawdziwa poezja czynu. ■



FOTO: SŁAWOMIR KOŚCIELAK

Wielkie dzieła Dürera z kolekcji Kabruna

Portret Jacoba Kabruna
Gilles-Louisa Chretien, 1802
początek XIX wieku



FOTO: MUZEUM NARODOWE GDAŃSK

Tekst: Jacek Kriegseisen

Na początku XIX wieku, w czasach kiedy nikt chyba nie miał wątpliwości, że okres niegdysiejszej wspaniałości Gdańska już przeminął, rozstały się z życiem dwie wybitne osoby, z pietyzmem dbające o spuściznę wieków i doceniające znaczenie sztuki, którym dzisiejsi gdańszczanie powinni być wdzięczni. Pierwsza z nich to Johann Uphagen (zm. 1802), założyciel rodzinnej fundacji, która za cel miała zachowanie rodzinnej kamienicy i zgromadzonych w niej zbiorów. Natomiast druga ze wspomnianych osób to Jacob Kabrun (9.01.1759–24.10.1814) – kupiec, armator, ale przede wszystkim kolekcjoner i bibliofil. Jemu Gdańsk zawdzięcza kolekcję obrazów i grafik, przekazaną miastu i jego obywatelom, która z upływem czasu stała się zaczątkiem zbiorów muzealnych powołanego w 1870 roku Muzeum Miejskiego (Stadtmuseum).

Jacob Kabrun zarówno wykształceniem, przebiegiem drogi zawodowej, jak i działalnością publiczną, z której pożytki czerpało rodzinne miasto, nie odbiegał znacząco od innych reprezentantów oświeconego kupiectwa. Różnił się natomiast wyraziście pasją kolekcjonerską, co dobitnie pobrzmiewa w jego testamencie: „Poza moimi głównymi działaniami w profesji kupca od lat młodzieńczych poszukiwałem nadto stawy duchowej. Odnalazłem ją w sztuce i nauce, którym zawdzięczam wiele szczęśliwych momentów życia. Z tego co miałem sposobność nabyć w czasie podróży powstał zbiór obrazów, rysunków, rycin i książek, który wprawdzie może nie mieć wielkiej wagi, ale

„Rycerz, śmierć i diabeł”, 1513, miedzioryt



FOTO: MUZEUM NARODOWE GDAŃSK



FOTO: MUZEUM NARODOWE GDAŃSK

„Geniusze podtrzymujące tarczę herbową, dmące w trąby”, ok. 1501–1502, miedzioryt

Dzisiaj w zbiorach Muzeum Narodowego znajduje się 1555 grafik z kolekcji Kabruna. Tak drastyczne zmniejszenie stanu posiadania jest konsekwencją zniszczeń oraz grabieży zbiorów muzealnych, związanych z działaniami ostatniej wojny, które przyniosły rozproszenie gdańskich muzealiów i ich znaczne liczebne uszczuplenie. Straty dotknęły wszystkich kolekcji muzealnych, ale wśród grafiki i rysunku wydają się być najbardziej rozległe i najboleśniejsze. W 1956 roku ze Związku Radzieckiego rewindykowano do zbiorów ówczesnego Muzeum Pomorskiego między innymi 1543 grafiki z kolekcji Kabruna. W następnych latach stan posiadania zwiększono do obecnego poziomu drogą zakupów.

Do dzisiaj najliczniejsze w kolekcji i najlepsze artystycznie są grafiki ze szkoły niemieckiej. Pośród niej największe znaczenie ma zespół rycin z końca XV i pierwszej połowy XVI wieku z dziełami Albrechta Dürera (1471–1528) na czele. Mistrz z Norymbergi był jednym z najwybitniejszych, wszechstronnie wykształconych i utalentowanych artystów w dziejach sztuki. Jest bez wątpienia najsławniejszym przedstawicielem renesansu w Europie północnej, zajmującym się malarstwem, rysunkiem i grafiką oraz teorią sztuki, któremu udało się w nowy sposób określić miejsce i rolę artysty.

Dürer był rytownikiem stosującym wszystkie znane ówczesnie techniki graficzne. Największe zasługi położył w rozwoju techniki drzeworytu, doprowadzając ją do poziomu miedziorytu. W dziełach powstałych w obu tych technikach osiągał wrażenie spójności kompozycyjnej i malarskiej trójwymiarowości, nadając rycinom rangę samodzielnego dzieła sztuki. Ryciny przysporzyły mu sławy w całej Europie i ją ugruntowały, o czym może świadczyć fakt, że jeszcze za życia artysty jego dzieła były naśladowane, kopiowane i fałszowane. Arcydziełami są pokazywane na gdańskiej wystawie miedzioryty powstałe w latach 1513–1514: „Rycerz, śmierć i diabeł”, czy „Św. Hieronim w pracowni”, które zinterpretować można jako wzory postaw życiowych. Rycerz reprezentuje postawę czynną – „vita activa”, św. Hieronim postawę rozwoju duchowego – „vita contemplativa”, zaś trzecia rycina, niestety nieobecna na wystawie, będąca bolesną stratą wojenną – „Melancholia”, jest ilustracją dylematów związanych z postawą twórczą – „vita creativa”.

przecież nie jest całkowicie bez znaczenia”. Właśnie jego zainteresowaniom zawdzięczamy powstanie kolekcji, która ze względu na wymogi konserwatorskie na co dzień skrywana jest w magazynach muzealnych i dostępna tylko dla nielicznych. (O Jakobie Kabrunie pisaliśmy: „30 Dni” 4/2001).

Według katalogu z 1861 roku kolekcja grafik i rysunków Kabruna liczyła 8800 zabytków (w tym 7022 ryciny). Zgromadzony przez gdańskiego kupca zbiór w sposób reprezentatywny i przekrojowy prezentuje historię europejskiej grafiki. Znalazły się w nim dzieła najznacniejszych mistrzów, prawie wszystkich ważniejszych europejskich szkół graficznych,

które były czynne od końca XV do początku XIX wieku: Albrechta Dürera, Lucasa Cranacha Starszego, Heinricha Aldegrevera, Albrechta Altdorfera, Cornelisa i Frederika Bloemaertów, Abrahama Blootelinga, Paula Pontiusa, Ferdynanda Bola, Rembrandta, Lucasa van Leyden, Aegidiusa i Johanna Sadelerów, Lucasa Vorstermana, Marcantonio Raimondiego, Antonio Tempesta, Stefano della Bella, Jacques Callota, Francesca Bartolozziego i wielu innych. Kabrun gromadził też prace rytowników mu współczesnych. Wśród nich na szczególną uwagę zasługuje prawie komplet prac innego gdańszczyzny – Daniela Chodowieckiego, artysty niezwykle cenionego przez zbieracza.

„Św. Hieronim w celi”, 1514, miedzioryt

Gdański zespół dzieł Dürera zawiera 26 rycin. Poza najliczniejszymi miedziorytami znajdują się w nim dwa drzeworyty i jedna z sześciu wykonanych przez artystę akwafort. Ryciny zazwyczaj mają niewielkie rozmiary, często są niepozorne, kameralne, wręcz intymne, dlatego nie jest łatwo pokazać je na ekspozycji. Z tego powodu, by zaprezentować gdańskiej publiczności kolekcję Kabruna na wystawie w Zielonej Bramie (to oddział Muzeum Narodowego), wybrano ten niewielki zbiór grafik. Dzięki temu, że będzie ich niezbyt dużo i zostaną odpowiednio wyeksponowane, można będzie dłużej i łatwiej skupić uwagę na tych niewątpliwych arcydziełach sztuki. Wystawa będzie czynna do 9 stycznia 2010 roku.

Aby widz mógł na dłużej pozostać z dziełami Dürera, właśnie wtedy – 9 stycznia 2010 roku (a będzie to w dwieście pięćdziesiątą pierwszą rocznicę urodzin Jacoba Kabruna) – Muzeum Narodowe udostępni gdańszczanom i będzie promować pierwszy tom katalogu rycin z kolekcji zachowanych w zbiorach muzealnych (publikacja nosi tytuł „Zbiory Muzeum Narodowego. Kolekcja Jacoba Kabruna. Ryciny szkoły niemieckiej od końca XV do początku XIX wieku”). Jest on owocem wieloletnich prac nad kolekcją, które prowadzi kustosz Muzeum Narodowego – pani Kalina Zabuska. Powstaną też kolejne publikacje poświęcone kolekcji Kabruna. Jedna z nich poświęcona będzie Danielowi Chodowieckiemu, a inne pozostałym szkołom europejskim reprezentowanym w kolekcji. ■

Fragment ekspozycji w Zielonej Bramie



FOTO: MUZEUM NARODOWE GDAŃSK



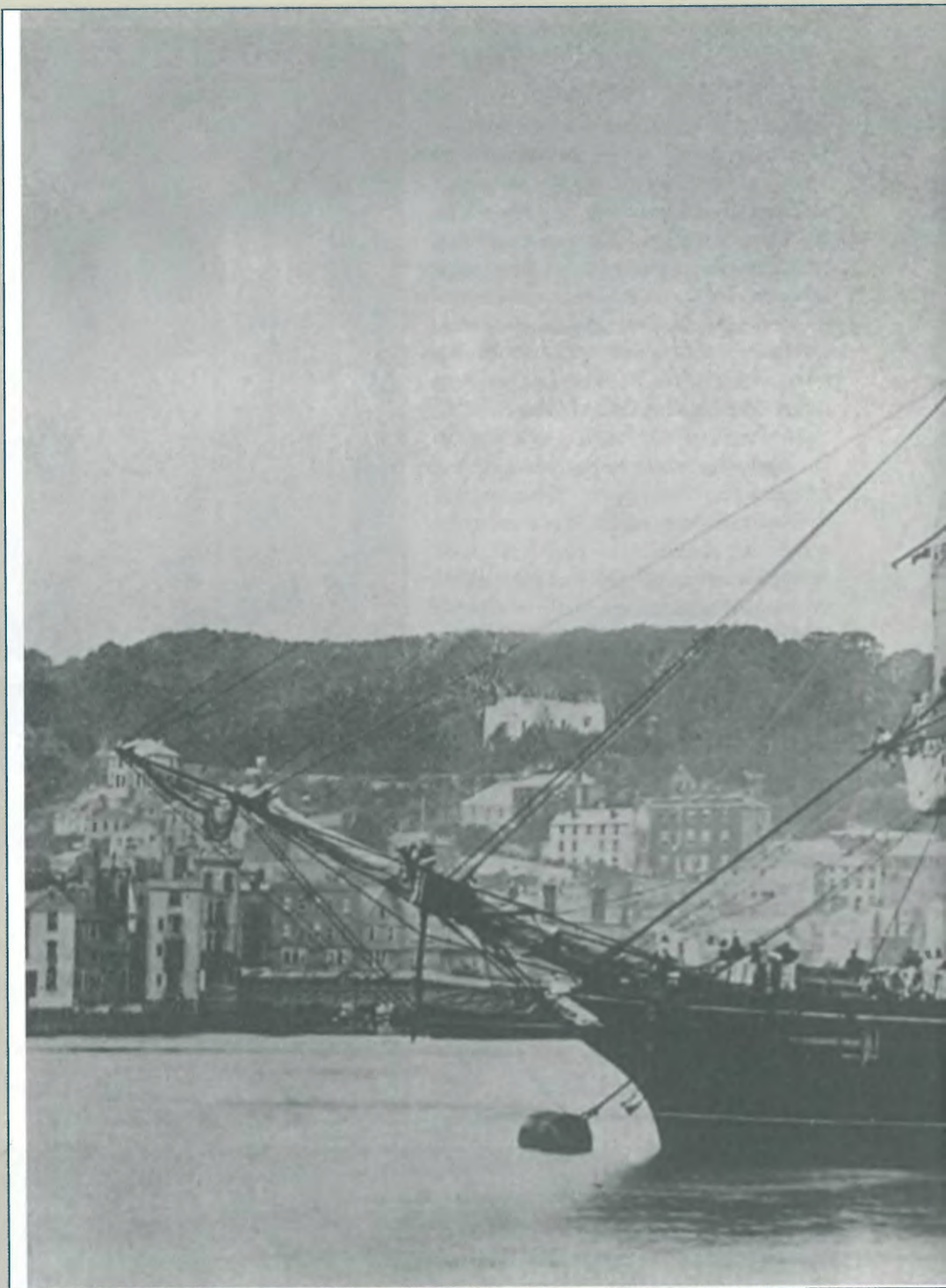
FOTO: RAFAŁ RZECZKOWSKI

19 lipca 1870 roku Francja wypowiedziała wojnę Prusom, ale jej wojska ponosiły klęski. 1 września tego roku skapitulowała armia francuska okrążona pod Sedanem, a cesarz Napoleon III dostał się do niewoli. Dalsze działania wojenne, mimo okresowych sukcesów, nadal przynosiły klęski wojskom francuskim. 28 stycznia 1871 roku podpisano zawieszenie broni, a 10 maja tego roku zawarto pokój we Frankfurcie nad Menem.

Francuska marynarka wojenna nie odegrała istotnej roli w wojnie z Prusami, a po klęsce pod Sedanem załogi okrętów skierowano do obrony Paryża i na inne fronty. Co prawda, na początku wojny zamierzano zablokować pruskie porty na Bałtyku, głównie Gdańsk, ale francuska eskadra nie odniosła sukcesów. Natomiast słaba liczebnie flota pruska nie kusila się o podejmowanie bitwy z liczniejszym przeciwnikiem, broniąc jednocześnie dostępu do własnych portów. A jednak w czasie rajdu francuskiego zespołu na Zatoce Gdańskiej doszło do bitwy, w rezultacie której pruska korweta „Nimfa” odniosła znaczny sukces.

Gdańsk – wraz z Królewcem – tworzył ważny węzeł strategiczny, o znacznej samodzielności. W jego skład wchodziły: fortyfikacje, wojska różnych broni, magazyny, zakłady uzbrojenia i amunicji, środki transportowe, wojskowe obiekty administracyjne i szkoleniowe. Tu zbiegały się szlaki komunikacji morskiej, rzecznej, rozwijających się kolei i dróg bitych. Działały stocznie; gospodarka, która miała dość znaczną samodzielność, zapewniała zasadnicze zaopatrzenie dla wojska w czasie pokoju i wojny. Miasta te były istotnymi ośrodkami polityczno-administracyjnymi.

Od 1854 roku w Gdańsku funkcjonowała baza morska dla floty pruskiej (Marinenstation der Ostsee). Po wojnie prusko-duńskiej, w 1865 roku, zaczęto ją przenosić do Kilonii: okręty, Komisję Ekonomiczną Floty i Batalion Morski. Od tej pory Kilonia stała



BITWA KORWET NA ZATOCE

Tekst: Tadeusz Górski



FOTO ZE ZBIORÓW AUTORA

Korweta „Nimfa” skutecznie zaatakowała francuskie okręty na Zatoce Gdańskiej

się główną bazą pruskiej marynarki wojennej, zaś Gdańsk bazą zapasową, zaopatrzeniową. Był też ośrodkiem budownictwa okrętowego.

Dzięki oddaleniu od brzegu morskiego Gdańsk był wówczas poza zasięgiem artylerii z okrętów przeciwnika. Co więcej, atak na miasto utrudniały warunki nawigacyjne i artyleria pruska. Już od 1840 roku Prusacy mieli na uzbrojeniu strzelby nabijane od tyłu i z dużą energią rozpoczęli prace nad armatami nabijanymi według tego systemu. Niebawem armaty pruskie, z pewnymi modyfikacjami, wprowadzono w Belgii, Austrii, Szwajcarii, w krajach niemieckich i w Rosji. W latach sześćdziesiątych XIX wieku pruskie działa miały większą szybkostrzelność

i celność niż artyleria innych armii. Podobnie było na okrętach. Trzeba też pamiętać, że pruscy artylerzyści, ci z lądu i ci z okrętów, byli świetnie wyszkoleni. Produkcję armat na dużą skalę rozwijała fabryka Bergera w Berlinie, ale najbardziej rozwinięto ją w fabryce Kruppa w Essen.

SIŁY PRZECIWNIKÓW

Flota francuska miała bogate tradycje bojowe i starała się dorównywać siłą brytyjskiej. Znajdowała się w rozbudowie, wprowadzano coraz to nowsze maszyny parowe na okręty, konstruowano pancerze i modyfikowano działa. Dlatego w jej składzie były jednostki o różnej wartości bojowej. W 1870 roku liczyła około 466 okrętów, w tym 281

bojowych i 185 pomocniczych. Była to flota silna, dobrze wyszkolona i należycie zaopatrzona. Jednak znaczna liczba okrętów była w trakcie modernizacji, remontów i przebrojenia. Część operowała na dalekich wodach kolonii francuskich.

Pruska marynarka wojenna była o wiele słabsza od francuskiej, ale górowała nad nią w zakresie artylerii okrętowej. Flota rozwijana była powoli, ale systematycznie, ulegała różnym reorganizacjom i udoskonaleniom. Kiedy utworzono Związek Północnoniemiecki, pruską marynarkę wojenną przekształcono (a stało się to 1 października 1867 roku) w marynarkę wojenną Związku (Marine des Norddeutschen Bundes). Budowano nowe okręty, a w 1869 roku w Wil-

helmshaven utworzono pierwszą bazę morską na Morzu Północnym.

W 1870 roku w skład pruskiej floty wojennej wchodziło około 50 okrętów: 6 jednostek pancernych, 37 różnych jednostek drewnianych z napędem parowym i 7 żaglowców. Szwankowało jednak wyszkolenie (jeśli pominąć artylerzystów), zaopatrzenie, stan techniczny, a wśród oficerów służyło wielu cudzoziemców. Jak wspominaliśmy, artyleria okrętowa i artyleria nadbrzeżna były dobre.

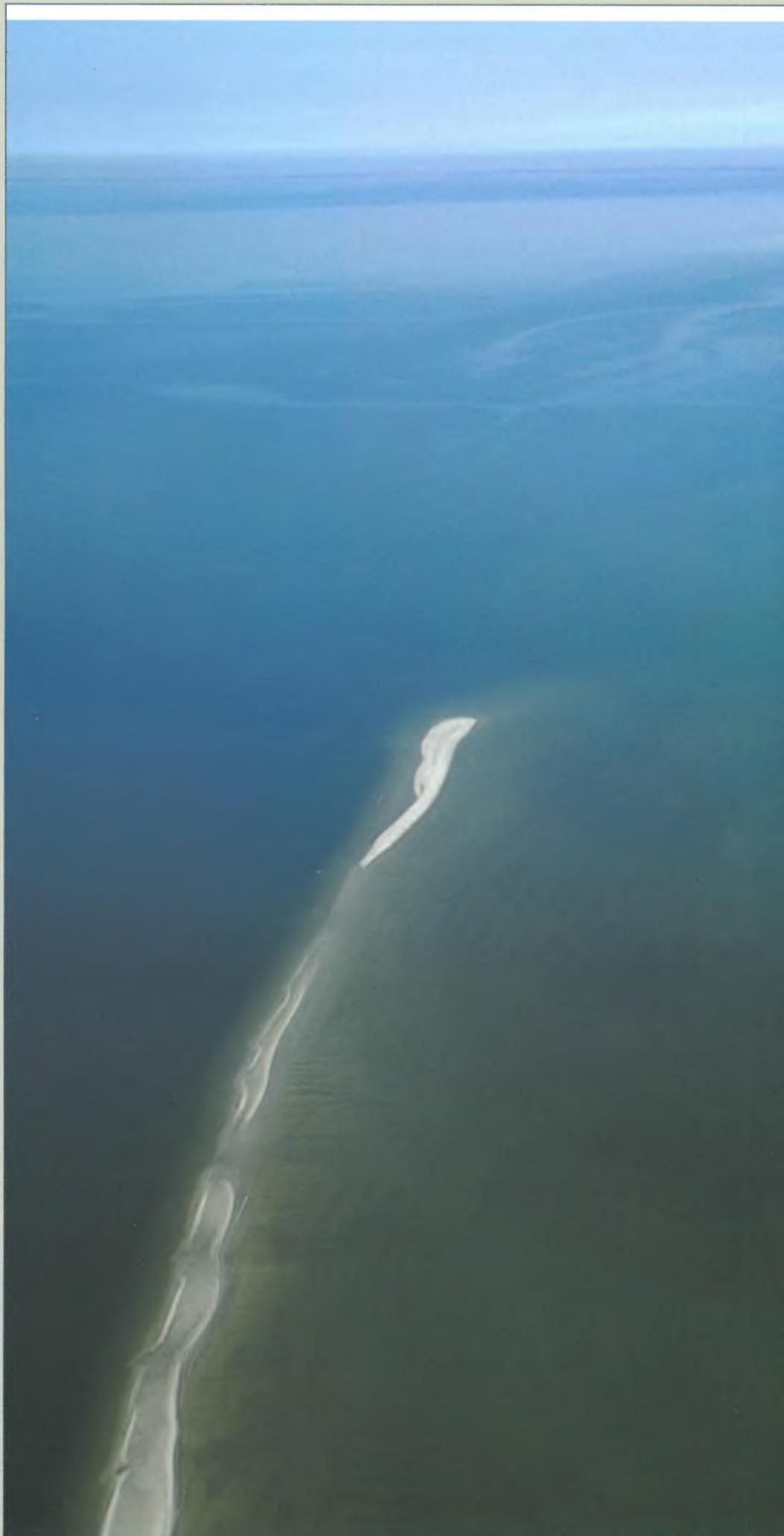
Pruskie siły zbrojne były dobrze przygotowane do wojny. Główne uderzenie poszło w kierunku Paryża, a wybrzeże morskie odpowiednio zabezpieczono. Nie zamierzano prowadzić działań bojowych na morzu z dala od wybrzeży, choćby z tego powodu, że flota pruska była mniej liczna od francuskiej.

Prusacy skoncentrowali swoją flotę głównie w rejonach ujść rzek: w ujściu Łaby i pod Rugią 22 okręty, w Świnoujściu 14 okrętów, a w Gdańsku jeden okręt. Była to korweta „Nimfa”. Okręty te miały za zadanie patrolowanie własnych wód przybrzeżnych i obserwowanie poczynąń przeciwnika na morzu. Nie mogły zbyt oddalać się od własnych baz. Wszystkie znajdowały się lub pływały w niedużej odległości od brzegu, by w razie potrzeby skorzystać z osłony własnej artylerii nadbrzeżnej i ruchomej artylerii lądowej. Tylko przy nadarzającej się okazji miały z zaskoczenia atakować przeciwnika na morzu. Do bezpośredniej obrony wybrzeża przed ewentualnymi desantami francuskimi wydzielono ponad 100 tysięcy żołnierzy, których miała wspierać policja, żandarmeria oraz ochotnicy i rezerwiści.

Pruska artyleria nadbrzeżna rozmieszczona była przy wejściach do portów i zatok, w cieśninach i na cyplach półwyspów wysuniętych w morze. Dodatkowo w ujściach dużych rzek, na podejściach do portów i w zatokach ustawiono zagrody minowe. Flota i lądowa obrona wybrzeża były w stałej gotowości do obrony przed ewentualnym francuskim desantem morskim oraz przed bombardowaniem ze strony okrętów przeciwnika.

W rejonie Gdańska podstawą obrony przed atakiem od strony morza była silna artyleria nadbrzeżna rozmieszczona w Nowym Porcie, którą wzmocniono ruchomą ciężką artylerią lądową. Został też rozbudowany system umocnień nadbrzeżnych, działały służby obserwacji i łączności. W rejonie ujścia Wisły postawiono miny morskie, nakazano wygaszenie wszystkie światła sygnalizacyjnych i latarni morskich, usunięto znaki nawigacyjne. Zabroniono też palenia ognia i używania oświetlenia. Kiedy zapadał zmrok z morza nie było nic widać.

Francuska blokada morska trwała czterdzieści dni – od 13 sierpnia do 22 września 1870 roku. W składzie eskadry, która w tym celu weszła na Bałtyk, było pięć fregat pan-





Atak gdańskiej korwety miał miejsce na Zatoce w pobliżu Kępy Oksywskiej

cernych, dwie korwety i jedno awizo. Niemal natychmiast podzielono ją na dwie grupy, aby ta operacja była bardziej skuteczna. Okręty francuskie krążyły w znacznej odległości od brzegu, a pruskie jednostki nie wychodziły dalej, jak poza wody przybrzeżne.

Gdańszczanie z pewnym niepokojem obserwowali z brzegu poczynania francuskich okrętów, a w żegludze gdańskiej zapanował bezruch. Na statkach wprowadzono stan gotowości do gaszenia pożarów, wzmocniono również straż pożarną w porcie i w mieście.

Jednak Francuzi wysłali na Bałtyk zbyt szczupłe siły, by skutecznie zablokować pruskie porty. Pływano więc na szlakach przybrzeżnych, do portów pruskich bez przeszkód zawiąły statki neutralnych bander. Ale zasadniczy ruch towarowy odbywał się drogami lądowymi i kolejowymi. Francuzi nie byli też w stanie przeprowadzić operacji desantowej, ponieważ zabrakło im odpowiednich oddziałów. Okręty francuskie nie podchodziły zbyt blisko portów, by przeprowadzić atak, gdyż mogła im wtedy zagrozić bardzo silna obrona wybrzeża. Co więcej, załogi francuskich okrętów nie znały miejscowych warunków nawigacyjnych i obawiały się wejścia na mielizny.

Z tych powodów Francuzi mieli niekorzystną sytuację operacyjną. Aby zwiększyć skuteczność blokady prowadzonej z dala od lądu, przeprowadzali rajdy wzdłuż wybrzeży, również na wodach Zatoki Gdańskiej. Ale i to nie dawało większych rezultatów, gdyż wcześniej zaalarmowane statki chroniły się do Nowego Portu.

CZYM BYŁA KORWETA I AWIZO

W bitwie na wodach Zatoki Gdańskiej udział wzięły dwie francuskie korwety i jeden okręt awizo oraz jedna korweta pruska. Korwety (także fregaty) były wówczas podstawowymi jednostkami w wojennych operacjach morskich.

Pod koniec lat sześćdziesiątych XIX wieku należały do większych okrętów, które budowano specjalnie do celów wojennych lub przebudowywano z innych większych jednostek. Wiele z nich było konstrukcjami drewnianymi opancerzonymi, ale wiele budowano już z żelaza. Miały podwójny napęd: parowy i żaglowy, podobnie jak niemal wszystkie ówczesne okręty wojenne.

Na napędzie parowym pływano w rejonach operacyjnych i podczas walki, na drugim – żaglowym – w czasie dalszych rejsów. Żagle były niezbędne, ponieważ mało wydajne maszyny parowe zużywały ogromne ilości węgla i trzeba było go oszczędzać. Dlatego na trasach przejścia okrętów parowych w portach lub większych przystaniach budowano stacje z węglem, gdzie okręty uzupełniały jego zapasy. Bywało i tak, że kiedy

brakowało takich stacji na trasie rejsu, w określone miejsca wysyłano statki z węglem, by zaopatrzyć te jednostki. Zdarzało się, że okrętom bojowym towarzyszyły liczne statki transportowe ze znacznymi zapasami węgla, który przeładowywano na morzu.

Okręty niemieckie miały łatwy dostęp do węgla w swoich bazach i portach, gdyż zasadniczo nie opuszczały ich na dłuższy czas. Natomiast okręty francuskie, które operowały z dala od swoich portów, musiały pobierać węgiel ze statków transportowych własnych lub sojusznicznych. Podczas operacji na Bałtyku Francuzi korzystali z zasobów duńskich. Dania zachowała wprawdzie neutralność, ale „po cichu” wspierała flotę francuską przeciwko siłom pruskim.

Przyjrzyjmy się pruskiej korwecie „Nimfa”, tej, która zaatakowała francuskie jednostki na Zatoce. Był to duży, drewniany okręt, zbudowany w 1863 roku. Wyporność standardowa tej jednostki wynosiła 1100 ton, długość 65 metrów, szerokość 10, zanurzenie 4,5 metra. Miała parowe maszyny o mocy 800 KM i ożaglowanie typu fregata (powierzchnia żagli półtora tysiąca metrów kwadratowych). Okręt miał jeden komin, rozwijał prędkość od 8 do 12 węzłów, uzbrojony był w dziesięć armat 36-funtowych i sześć armat 12-funtowych. Załoga liczyła 190 ludzi.

Korwety były używane do eskortowania konwojów, zwalczania żeglugi przeciwnika i ochrony własnej, blokowania portów nieprzyjacielskich i przeprowadzania zwiadów. Kiedy pływały w dużych zespołach pancernych miały za zadanie chronić własne okręty przed niespodziewanym atakiem.

Jeśli chodzi o awiza, to występowały one głównie we flotach państw kolonialnych. Jednostki te wykonywały różnego rodzaju pomocnicze zadania bojowe, takie jak patrolowanie czy rozpoznawanie. Używano ich do przerzucania małych desantów i demonstracji własnej siły wobec mieszkańców kolonii. Te lekkie okręty miały małą liczbę armat, ale wystarczającą, by walczyć z ewentualnymi buntownikami.

Awizo to okręt o dużej dzielności morskiej, który spełniał również rolę szybkiej jednostki łącznikowej na trasach kolonia-metropolia, ale też między zespołami okrętów i ich bazą. Wyposażony był w liczne pomieszczenia do przewozu żołnierzy, miał kabiny, w których podróżowali urzędnicy kolonialni i ich rodziny, a nawet pomieszczenia reprezentacyjne.

Na wodach europejskich, również w czasie wojny 1870 roku, awiza przydzielano do zespołów okrętów bojowych (takich jak fregaty lub korwety). Tak było w zespole okrętów francuskich, które wpłynęły na Zatokę Gdańską. Dzięki nim utrzymywano łączność z dowództwem sił głównych na Bałtyku. Jednak na pokładzie nie było odpowiedniej



Marynarz floty francuskiej z okresu wojny 1870 roku

liczby żołnierzy piechoty morskiej, którzy mogliby przeprowadzić desant. Francja odczuwała niedostatek żołnierzy potrzebnych do obrony kraju przed ofensywą lądowych sił pruskich.

ATAK Z ZASKOCZENIA

Wojna prusko-francuska w 1870 roku znacząca się też w Gdańsku. Wielu mieszkańców powołano do oddziałów wojskowych, które pomaszerowały na zachód, wielu służyło w obronie wybrzeża i twierdzy gdańskiej, by przeciwstawić się ewentualnemu francuskiemu desantowi morskiemu. Na początku wojny miasto nie odczuwało zagrożenia ze strony wroga. Ale nagle, w sierpniu, na Bałtyku pojawiła się flota francuska, która zablokowała porty.

21 sierpnia 1870 roku, w czasie jednego z wieczornych rajdów, francuskie okręty (dwie korwety pancerne „Thétis” i „Jeanne d'Arc” oraz awizo „Renard”), stanęły na kotwicy – w znacznej od siebie odległości – między Kępą Oksywską i Helem. Okręty te były pilnie obserwowane z wybrzeża (od Helu po Piławę), a także z małych jednostek pływających. Obrona wybrzeża na lądzie i cała artyleria nad Zatoką Gdańską znajdowały się w pełnej gotowości bojowej. Wieść o tym, że pojawiła się flota przeciwnika, dotarła do miasta i okolicznych miejscowości. Czyniono przygotowania do obrony przed ewentualnymi skutkami francuskiego bombardowania. Uruchomiono szpitale, zapasowe środki komunikacji, przygotowano sprzęt przeciwpożarowy i wszystko to, co mogło być przydatne na wypadek eksplozji pocisków wystrzeliwanych z francuskich okrętów.

Okręty te stały na kotwicach. Ich załogi czuły się bezpiecznie, gdyż znajdowały się poza zasięgiem pruskiej artylerii nadbrzeżnej. Wykonywały, jak co dzień, swoje prace,

oczekując na podniesienie kotwic w następnym dniu. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że podlega obserwacji, a każdy ruch na pokładach jest pilnie śledzony.

Po stronie pruskiej powstała więc bardzo dogodna sytuacja, by przeprowadzić atak. Korweta „Nimfa” stała gotowa do walki w Nowym Porcie. Dowodził nią komandor podporucznik Johannes Weickhmann. Pod osłoną nocy okręt wyszedł z Nowego Portu i – płynąc jak najbliżej brzegu – zbliżał się w kierunku francuskiej korwety „Thétis”, która stała na kotwicy nieopodal Kępy Oksywskiej. Pogoda była dobra, pruska korweta niewidoczna na tle lądu, zaś okręt francuski był widoczny na wodzie w poświacie księżyca, przez co stanowił doskonały cel dla artylerii okrętowej.

22 sierpnia, około godziny wpół do drugiej w nocy, „Nimfa” otworzyła ogień do francuskiej jednostki z odległości około dwóch tysięcy metrów, natychmiast uzyskując trafienia. Na pokładzie przeciwnika wybuchł pożar, poległo osiemnastu francuskich marynarzy. Na zatoce widać było odbłaski pożaru i błyski z armatnich wystrzałów. Wkrótce do bitwy zaczęły się włączać inne francuskie okręty. Ale nie były w stanie sięgnąć celu. Wśród armatniego huku „Nimfa” wykonała zwrot i obrała kurs do swojej bazy. Po wykonaniu zadania weszła do Nowego Portu już około godziny trzeciej.

Wieść o zwycięskiej bitwie „Nimfy” z francuską korwetą pancerną szybko rozeszła się po Gdańsku i okolicy. Fakt ten został natychmiast wykorzystany propagandowo. W niedługim czasie miała powstać cesarska flota wojenna. Francuska eskadra, która nie mogła liczyć na posiłki i uzupełniania, opuściła Bałtyk na wieść o klęsce pod Sedanem. Żołnierzy z okrętów skierowano do walki na lądzie, by broniły Paryża.

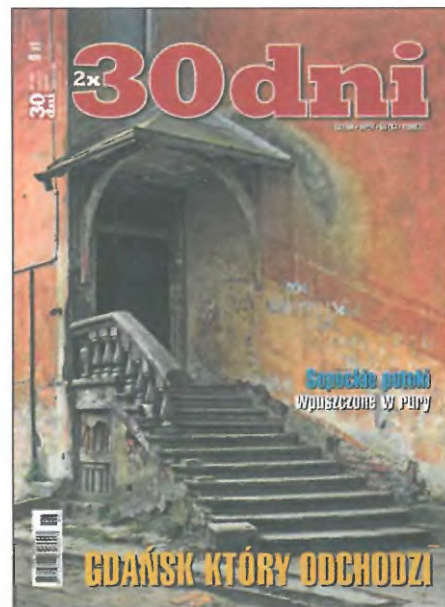
Po zakończeniu wojny „Nimfa” odwiedzała różne porty bałtyckie i nad Morzem Północnym, a w latach 1871-1875 (wraz z bliźniaczą „Meduzą”) odbyła podróż dookoła świata. Przez następne lata okręt pełnił różne służby, nadal dużo pływał do obcych portów, a od 1885 roku – był już wtedy wysłużoną jednostką – został zakotwiczony na stałe w Kilonii jako hulk, czyli pływające koszary. W 1891 roku w Hamburgu „Nimfa” została skreślona ze stanu floty jako wrak.

Korweta „Nimfa” i zbrojny incydent na wodach Zatoki Gdańskiej z 1870 roku są elementami morskich dziejów Gdańska drugiej połowy XIX wieku i warte są przypomnienia. Tym bardziej, że podobne do „Nimfy” jednostki, a następnie o wiele większe i nowocześniejsze, budowano w Stoczni Cesarskiej nie tylko dla floty pruskiej, ale i dla flot wojennych innych państw. Już wówczas państwo niemieckie ciągnęło z tego ogromne zyski. ■

30 dni

Spis treści rocznik 2009

(OD NUMERU 81 DO NUMERU 86)



STYCZEŃ / LUTY 2009
Nr 1 (81)

Wczoraj i przedwczoraj . . . 6

**Atrakcyjny dla turystów
i inwestorów 6**

**Pożegnanie Ikarusa,
prezentacja Solarisa 8**

**W Senacie upamiętniono
Lecha Bądkowskiego 10**

Bądkowski był jeden 12

„Jeśli chcielibyśmy myśleć o Lechu Bądkowskim tylko jako o polityku bądź pisarzu, to – chcąc nie chcąc – zubażalibyśmy jego postać. Bądkowski był jeden. Był fenomenem, człowiekiem osobnym, z gatunku tych, o których mawia się, że zostali dotknięci przez Pana Boga”. Lecha Bądkowskiego, w 25. rocznicę jego śmierci, wspomina *Donald Tusk*

Gdańsk, który odchodzi . . . 14

W opinii miejskich urzędników w Gdańsku duża część budynków mieszkalnych z przełomu XIX i XX wieku kwalifikuje się do rozbioru, a wiele wymaga natychmiastowego remontu. Tylko w latach 1997-2004 Gdański Zarząd Nieruchomości Komunalnych wykwaterował mieszkańców z 284 domów z powodu katastrofального stanu technicznego. W ostatnim roku z krajobrazu miasta ubył 23 domy, a wyburzanie będzie kontynuowane w kolejnych latach.

Tadeusz T. Głuszko

Miasto skoszarowane 24

Zabudowań koszarowych było w Gdańsku całkiem sporo. Dzisiaj prawie we wszystkich mieszczą się placówki edukacyjne różnego typu albo urzędy, rzadziej siedziby służb mundurowych. Warto więc przyjrzeć się wybranym dawnym pruskim koszarom, które znajdują się w obrębie historycznego śródmieścia.

Jan Daniluk

Kronika Gdańska

Lipiec-grudzień 2008 I-XII

Jerzy Kukliński

Rozmaitości 35

Pół wieku z telewizją 35

Potoki wpuszczone
w rury 36

Prace na sopockiej plaży ruszyły w grudniu ubiegłego roku. Ujścia wszystkich potoków po południowej stronie mola wyprowadzone zostaną dwoma kolektorami na odległość około czterystu metrów w głąb Zatoki.

Tadeusz T. Gluszeko

Gdańsk oczami Hureta ... 44

Mało znany, a nawet zapomniany, jest obraz Gdańska widzianego oczami Julesa Hureta, znakomitego francuskiego dziennikarza, określanego niekiedy mianem „ojca nowoczesnego reportażu”, który w 1907 roku odbył podróż po północnych Niemczech, odwiedzając między innymi gród nad Motławą. Jego relacja opublikowana została w formie książkowej w 1908 roku.

Wojciech Turek

Nieistniejące bramy 50

Wiele obiektów, które na zawsze zniknęły z krajobrazu Gdańska, dzisiaj uchodziłyby za perły architektury. Skoro nie możemy ich oglądać w realnie istniejącym mieście, warto pokusić się o ich przypomnienie i próbę odtworzenia ich wyglądu.

Aleksander Mastowski

Listy 58

Wydawnictwa 63

Galeria 64

Ruiny Gdańska, widok z ulicy

Żabi Kruk 64

Powojenne Główne Miasto

widziane z Ołowianki 66



MARZEC / KWIECIEŃ 2009 Nr 2 (82)

Wczoraj i przedwczoraj ... 6

Lech Wałęsa uhonorowany
w Szczecinie 6

Wodowanie w Gdyni 8

Budowa Balic Areny 10

Podróż życia 12

W siedemdziesiąt rocznicę
Kindertransportów

Dokładne liczby dzieci przewożonych do Wielkiej Brytanii nie są znane. Szacuje się, że dzięki Kindertransportom uratowano od dziesięciu do jedenastu tysięcy żydowskich dzieci z kontynentu. Żadnemu z transportów nie towarzyszyli rodzice.

Mieczysław Abramowicz

Wyspa
nie tylko Spichrzów 23

Najwcześniejsza wzmianka informująca o tym, że na Wyspie pojawili się mieszkańcy, pochodzi z 1626 roku. Wówczas Rada Miejska zezwoliła Żydom, którzy byli faktorami panów polskich, zamieszkać na tym terenie.

Anna Cwikatowska

Dworek Ogrodnika 26

Na potrzeby oliwskich cystersów pracowały folwarki założone w bezpośrednim sąsiedztwie ich głównej siedziby. Folwark klasztorny został rozebrany w XIX wieku, natomiast po opackim do naszych czasów zachowały się pozostałości, przede wszystkim dworek,

zwyczajowo nazywany Dworkiem Ogrodnika.

Tadeusz T. Gluszeko

Pół wieku rocka
w Polsce 34

24 marca 1959 roku w Gdańskim Klubie Kultury „Rudy Kot” po raz pierwszy wystąpił publicznie zespół „Rhythm and Blues”. Od tego momentu rozpoczął się tryumfalny pochód rock’n’rolla przez wszystkie sale koncertowe w Polsce. Rozpoczęła się era muzyki rockowej w naszym kraju.

Jerzy Piskorzyski

Park wyłoni się
spod asfaltu 42

W sopockim Parku Północnym w kwietniu rozpoczęły się szeroko zakrojone prace rewaloryzacyjne i drogowe. Efekty ujrzemy najpóźniej w lipcu, ale wykonawcy nie wykluczają, że stanie się to wcześniej. Na pewno dobrze odnajdą się tutaj spacerowicze, rowerzyści i rolkarze.

Tadeusz T. Gluszeko

Z jasełkami w Piekło 48

Być Polakiem w Wolnym Mieście Gdańsku nie było łatwo. Z tego powodu wielu zapomniało o swoich korzeniach. Działacze polonijni podejmowali wiele przedsięwzięć, które miały przeciwdziałać takiej sytuacji. Jednym z nich był teatrzyk lalekowy „Skrzat”, który miał krzewić polską kulturę i polskie słowo. I z tą misją docierał do najdalszych zakątków Wolnego Miasta.

Tymoteusz Jankowski

Ulice 56

Bujna Ewelina, czyli ulica Sobótki

Nigdy nie próbowałem się dowiedzieć kim była, choć W. jest moim znajomym i lubi opowiadać o wszystkich kobietach swojego życia. Bujna Ewelina jest dla mnie pamięcią ulicy Sobótki w znacznie większym stopniu, niż była knajpa „Zinglershöhe”, czy spis byłych lokatorów kamienicy przy Am Johannisberg 3 z czasów Wolnego Miasta Gdańska.

Paweł Huelle

Listy 60

Wydawnictwa 61

Galeria z lotu ptaka 62

Ulica Do Studzienki 62

Letnica z ulicą Uczniowską 64

Sea Towers w panoramie Gdyni .. 66



MAJ / CZERWIEC 2009 Nr 3 (83)

Wczoraj i przedwczoraj . . . 6

4 czerwca – dzień wolności i dumy . . 6

**Tworzymy wystawę
na Westerplatte 10**

Muzeum II Wojny Światowej małymi krokami wkracza również na teren Westerplatte. Już wkrótce powstanie tu nowoczesna plenerowa wystawa, która w przejrzysty i zwięzły sposób pokaże główne epizody trzystuletnich dziejów tego miejsca, a przede wszystkim walkę polskich żołnierzy we wrześniu 1939 roku.

Janusz Marszałec

**Kaplica
na wodach Zatoki 18**

Na odpust świętych apostołów Piotra i Pawła płyną do Pucka rybacy z całego półwyspu. Prawie wszystkie kutry są udekorowane emblematami religijnymi. Przed rozpoczęciem mszy odpustowej, która odprawiana jest w puckiej farze, rybacy gromadzą się na Małym Morzu (tak nazywają Zatokę Pucką) na wysokości Rzucewa. *Józef Plata*

Trzy ostatnie 24

W Sopocie nieustannie coś się buduje, modernizuje i upiększa, ale jednocześnie bez śladu znikają autentyczne stare rybackie chatki. Nigdy nie było ich dużo. Zostały już trzy ostatnie. W maju tego roku

jedną mocno zniszczył pożar. Jeśli ulegnie rozbiórce, pozostaną dwie. *Tadeusz T. Glusko*

Zaulek w Visby 33

Visby, podobnie jak Gdańsk, należało do Hanzy. Fakt ten podkreślają nazwy uliczek na starym mieście w pobliżu dawnego portu średnio-wiecznego. Jedną z nich jest Danzigergränd.

Waldemar Borzestowski

Hans Kloss w Gdańsku . . . 36

Postać Hansa Klossa, lub J-23, przyciągała i przyciąga przed ekrany telewizorów ogromną widownię. W serialu pojawiają się wątki gdańskie, a jeden z odcinków („Hotel Excelsior”) niemal w całości został zrealizowany w naszym mieście i jego najbliższych okolicach. *Dawid Raizer*

**Kunst
do tłoczenia wody 46**

Dzisiaj mało kto potrafi zachwycić się epokowym dla Gdańska wydarzeniem, jakim było doprowadzenie wody z Krzyżownik i budowa Wasserkunstu, który w miarę podwyższania wieży, stopniowo zwiększał ciśnienie w sieci.

Tadeusz T. Glusko

Ulice 55

Latarnik z ulicy Karłowicza

Gdybym wówczas posiadał aparat fotograficzny, na pewno próbowałbym zrobić zdjęcie ostatniemu latarnikowi Wrzeszcza. Najlepiej w chwili, gdy podnosi swoją długą tyczkę ku kłoszowi latarni i jeszcze, przez parę sekund po rozbłyśnięciu płomienia, trwa w tej pozycji.

Paweł Huelle

Jestem na tym zdjęciu . . . 58

Zdjęcie zamieszczone w poprzednim numerze „30 Dni”, na którym widzimy uczestników kursu oświatowego w Skępem, wywołuje wspomnienia. Sopocianka *Wanda Szopińska* opowiada o roku 1939 i dziejach swojej rodziny, która żyła w Wolnym Mieście.

Tymoteusz Jankowski

Listy 64

Wydawnictwa 65

Galeria 66

Rzeźby z piasku w Jelitkowie 2

Parada żaglowców w Gdyni 66



LIPIEC – PAŹDZIERNIK 2009 Nr 4/5 (84/85)

Wczoraj i przedwczoraj . . . 6

Fontanna w historycznym miejscu . . 6

W rocznicę wojny na Westerplatte . . 8

Piaśnica 10

Piaśnica nie stała się ogólnopolskim miejscem pamięci w potocznym u nas rozumieniu tego słowa, czyli znanym w całym kraju miejscem wojennej martyrologii.

Piotr M. Majewski

LUDZIE I WOJNA

Pocztylion

Franciszek Guziński 15

SS-mani wtargnęli do Urzędu, mieli ze sobą chorągiew z hakenkreuzem, chcieli żebyśmy ją wywiesili. Kiedy odmówiłem powieszenia chorągwi, jako że jestem Polakiem, dostałem pierwsze uderzenie kolbą. (Ze wspomnień *Franciszka Guzińskiego*) *Waldemar Borzestowski*

**Nie rozumiałam,
że rozpoczęła się wojna . . . 25**

Przez żelazne drzwi wychodziłmy pojedynczo. Na zewnątrz stał Rosjanin ubrany po cywilnemu, wołał „Uhr, Uhr”, by kłaść zegarki na tacę.

Wspomnienia Teofilii Posiadłowskiej Papalezow

**W niewoli u Niemców,
a później u Sowieców . . . 27**

W pewnym momencie chwyciłam się poręczy i nie chciałam dalej iść. Zaczęłam głośno płakać, a on wrzeszczał: „Ja niczego nie chcę z ciebie, jop twoją mać, idi, idi!”. Nogi miałam jak z waty, ale poszłam.

Wspomnienia Janiny Lis

Powstańców Warszawskich, czyli przez Suchanino do Wrzeszcza 30

W środę, 8 października 1919 roku, o podjętej uchwale entuzjastycznie donosił „Danziger Zeitung”, krzycząc nagłówkiem o „milionowych projektach w miejskim parlamencie”. Jednym z tych projektów była linia tramwajowa z Nowych Ogrodów do Wrzeszcza, po całkowicie nowej trasie. *Sławomir Kościelak*

Muzyka i organy w Świętej Trójcy 38

Od 2006 roku, wrześniową porą, w murach franciszkańskiego kościoła pod wezwaniem Świętej Trójcy na Starym Przedmieściu przez kilka dni rozbrzmiewają koncerty Festiwalu im. Johanna Gottlieba Goldberga.

Tadeusz T. Głuszko

Gdańsk, który ratujemy ... 46

Miasto postanowiło samo zająć się najcenniejszymi „ruderami”. Na pierwszy strzał poszła – stanowiąca gminną własność – wielorodzinna kamieniczka przy Rycerskiej 10 na Starym Mieście, co do której nadzór budowlany orzekł przed laty, że jej stan techniczny nie gwarantuje bezpieczeństwa mieszkańców.

Tadeusz T. Głuszko

Ulice 54

Ulica Trawki

Nie widziałem tego od początku. Nie zauważyłem pierwszego momentu. Musiał być, doprawdy, dramatyczny. Pierwsza tyłka kopyt wysypująca kilkadziesiąt kilogramów brętowskiej ziemi, z pischelami i czaszką jako zawartością.

Paweł Huelle

Wydawnictwa 58, 64

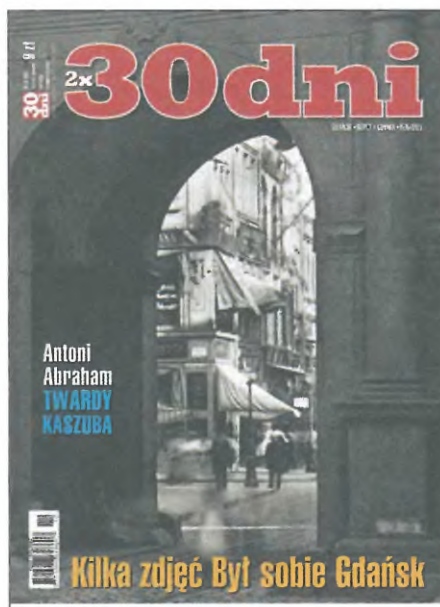
Rozmaitości 59, 62

Listy 62

Galeria 66

Długie i Rybackie Pobrzeże 2

Sztormowa pogoda na Bałtyku ... 66



LISTOPAD / GRUDZIEŃ 2009 Nr 6 (86)

Listy 3

Wczoraj i przedwczoraj ... 6

Światłne niespodzianki 6

Świąteczne 8

Abraham, twardy Kaszuba 10

W 1911 roku podczas wiecu w Żarnowcu, w którym uczestniczyło trzystu Kaszubów, Abraham został pojmany za to, że perorował po polsku, bo nie „chciał po niemiesku przemawiać”. Prusacy zakuli go w kajdany. Zapewne nie wiedzieli, że „kaszubski król” dysponował nieprzeciętną siłą. Rozerwał łańcuchy i stanął wolny.

Tadeusz T. Głuszko

Od Rynku do Srebrzyska .. 20

Czym niegdyś była ulica Partyzantów – Mirachauer-Weg? Czym jest obecnie?

Sławomir Kościelak

Wielkie dzieła Dürera z kolekcji Kabruna 29

Gdański zespół dzieł Dürera zawiera 26 rycin. Najliczniejsze są miedzioryty. Ryciny zazwyczaj mają niewielkie rozmiary, często są niepozorne, kamealne, wręcz intymne, dlatego nie jest łatwo pokazać je na ekspozycji. *Jacek Kriegseisen*

Bitwa korwet na Zatoce .. 32

W czasie wojny francusko-pruskiej 1870 roku, w czasie rajdu

francuskiego zespołu okrętów na Zatoce Gdańskiej doszło do bitwy, w rezultacie której pruska korweta „Nimfa” odniosła znaczny sukces.

Tadeusz Górski

„30 Dni”

Spis treści rocznika 2009 I-IV

Gdańszczanin

z załogi „Rudego” 37

Serial „Czterej pancerni i pies” bił rekordy popularności. Już w pierwszym odcinku zatytułowanym „Załoga” możemy usłyszeć o Gdańsku, choć akcja rozgrywa się na Syberii.

Waldemar Borzestowski

Moja ulica Wajdeloty 44

Nie ma już „Baru pod Budą”, w którym przez brudne szyby można było dostrzec kłębiący się tłum ledwo widocznych w gęstym papierosowym dymie mężczyzn, popijających cicho pod słonego śledzia. Zastąpił go elegancki lokal „Valdonas”. Weszłam tu po raz pierwszy w życiu...

Z panującej atmosfery, zaobserwowanej kiedyś z okien mojego domu, nie zostało dosłownie nic. Tylko na półeczce stała, jako ozdoba, dawna emaliowana tabliczka z numerem domu 22... Wspomnienia *Hanny Walentynowicz-Tkaczyk*

Ulice 54

Obrońców Westerplatte – Georgstrasse

Przeprowadzając się kilka lat temu do Oliwy nie przypuszczałem nawet, że moje spacerowanie przez park, czy praktyczne wędrówki na rynek, będą miały w sobie – przynajmniej od czasu do czasu – również coś z charakteru literackiej pielgrzymki.

Paweł Huelle

Było dwóch

Franciszków Guzińskich ... 56

Dzięki informacjom, które przekazał nam pan *Wiesław Ostrowski* możemy zwrócić uwagę na fakt, że wśród Polonii Gdańskiej działało dwóch panów o nazwisku Franciszek Guziński.

Wydawnictwa 58

Był sobie Gdańsk, pozostały zdjęcia 61

Prezentujemy kilka „albumowych” zdjęć Gdańska sprzed 1945 roku.

Gdańszczanin z załogi „Rudego”

Tekst:
Waldemar Borzestowski



W połowie maja 1967 roku „pancerni” przybyli z wizytą do Gdańska. Jedno ze spotkań z tłumami wielbicieli serialu odbyło się na stadionie „Lechii”

Serial „Czterej pancerni i pies” bił rekordy popularności, a grający w nim aktorzy, zwłaszcza Janek i Marusia, byli obdarzani uwielbieniem. Pierwszy odcinek wyemitowano 9 maja 1966 roku o godzinie 20, na jedynym wówczas, pierwszym programie Telewizji Polskiej, a ponieważ niewielu ludzi miało wtedy telewizory, serial trafił do kin, gdzie „szedł” po dwa odcinki na seans. Trzy sezony, jak to się dzisiaj mówi, obejmowały 21 odcinków, ostatni nakręcono w 1970 roku. Emisję powtarzano niemal co roku, dzięki czemu w młodą pamięć miało szansę wryć się kilka wcale zabawnych powiedzonek i przeświadczenie, że koniec końców myśmy tę wojnę wygrali.

Jestem z Gdańska

Już w pierwszym odcinku serialu zatytułowanym „Żałoga” możemy usłyszeć o Gdańsku, choć akcja rozgrywa się na Syberii. Janek Kos (Janusz Gajos) to młody chłopak, doskonały strzelec, pozostający pod opieką doświadczonego myśliwego, Jefima Siemionycza (Zdzisław Karczewski). Podczas jednej z wypraw zabija tygrysa, ratując staremu życie. Jest zima i jak to na Syberii śnieg prawie po pas. Kiedy chłopak wraca do bazy po traktor, którym mógłby przewieźć rannego towarzysza i ustrzelone zwierzę, wyjmując z torby czarny, skórzany portfel. W nim ukrywa swoje skarby, a wśród nich ten najdroższy – mocno sfatygowaną fotografię swojego ojca Stanisława. To zdjęcie portretowe polskiego przedwojennego oficera w mundurze, dwie gwiazdki ozdabiają jego czapkę rogatywkę i pagony, na lewej piersi przypięty ma krzyż. Janek jest przekonany, że nie chcą go przyjąć do wojska nie z powodu wieku – ma siedemnaście lat, a być może nawet szesnaście – lecz pochodzenia. Nie kryje swojego rozgoryczenia: „Mnie nie dlatego nie biorą, ja z Polski, z Gdańska”. Na zarzut Grigorija Saakaszwilego (Włodzimierz Press), starszego kolegi z bazy, że marudzi, a wojna ojczyzniana w rezultacie mało go obchodzi, młody Polak odpowiada dumnie: „A kto się pierwszy z Hitlerem bił, kto walczył na Westerplatte?”. Grigorij usiłuje wymówić trudną dla niego nazwę – „Wester... twoja wojna dawno skończona, was w dwa tygodnie pobili” – dokucza Polakowi. Dochodzi między nimi do bójki, która kończy się jednoczącą i jedyną wówczas do zaakceptowania konkluzją: twoja wojna, moja wojna, jedna wojna.

Skreślając Jefimowi papierosy, Janek znajduje fragment gazety, w której napisano, że rząd radziecki zgodził się na utworzenie polskiej dywizji im. Tadeusza Kościuszki (została sformowana w maju 1943 roku). Trudno o lepszą wiadomość. Jednak dostanie się nad Okę nie jest takie proste. Nawet pochwylenie japońskiego zwiadowcy nie stanowi odpowiedniej rekomendacji. Rosyjski towarzysząc major, z protezą prawej ręki, twardo stoi na straży przepisów. Janek musi odczekać kilka miesięcy, chyba do kolejnej zimy (upływ czasu najlepiej widać po towarzyszącym mu Szariku), by ruszyć nad Okę.

Młodzian podróżuje „bez papierów”, a więc nielegalnie, wciska się w kąt wagonu i przez długi czas pozostaje niezauważony. Kiedy jego obecność zostaje wykryta, a szef kompanii czerwonoarmiejców, starszy sierżant gwardii Czernousow (Janusz Kłosiński) strofuje chłopca, wypominając mu, że mało myśli o rodzicach, którzy martwią się jego ucieczką, Janek odpowiada: „Nie mam matki, a ojciec zginął gdzieś cztery lata temu”. „Wtedy jeszcze wojny nie było” – czepia się

Fiedia-Jolki Polki (Józef Nalberczak). „Była w Polsce” – przypomina Janek i tłumaczy, że już trzeci dzień jedzie do polskiej armii. Czernousow waha się, kiedy podczas postoju na sąsiednim torze staje pociąg z Polakami jadącymi do Sielc. Nie ma się co dłużej zastanawiać, los tak chce. „Ja z Gdańska” – woła do nich Janek i zostaje przekazany „swoim” nieczym paczka, z rąk do rąk. W wagonie poznaje Lidkę (Małgorzata Niemirska) i Gustawę lub prościej Gustlika Jelenia (Franciszek Pieczka), pochodzącego z Ustronia nad Wisłą. Razem docierają do obozu polskiej armii nad Oką. Ślżak, który był w czołgach u Niemca, ale uciekł, stara się teraz dostać do tworzącej się właśnie 1 Brygady Pancerniej im. Bohaterów Westerplatte. Jest przekonany, że Janek też powinien tam trafić. „Głuchyś, przeca twój ojciec tam się bioł, jo się już zapisoł” – mówi.

To przemawia do wyobraźni chłopca. Używając fortelu dostaje się do brygady. Dzięki celnemu oku trafia jako strzelec radiotelegrafista (nieśmiertelny „Grab III”) do załogi czołgu dowodzonego przez lejtnanta Olgierda Jarosza (Roman Wilhelmi), wcześniej służącego w armii radzieckiej. Tworzą ją, prócz dowódcy i Janka, znany nam już Grigorij, Gustlik oraz pies.

Bojowy szlak

Po kilkumiesięcznych szkoleniach (1 Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte została zaprzysiężona 11 listopada 1943 roku i potem, dla uzupełnień, 1 czerwca 1944 roku) załoga rusza na front. Jak informują armijne komunikaty marszałek Rokossowski jest już nad Bugiem. T-34, który otrzymali nasi dzielni wojacy, to – pomimo kilku wad – jeden z najlepszych czołgów II wojny światowej. Dzięki względnej prostocie mógł być produkowany masowo, a jego 76-milimetrowe działo w znacznym stopniu rozstrzygnęło wynik pancernego starcia na froncie wschodnim. Dowódcą polskich żołnierzy jest pułkownik, którego poznajemy jedynie z imienia – Tadeusz (Tadeusz Kalinowski). Wiadomo, że zanim trafił do ludowego wojska służył w Armii Czerwonej, na jego piersi dostrzec można order za bitwę pod Kurskiem. Towarzyszą mu zazwyczaj rosyjscy dowódcy, zamyśleni i heroicznie dzielni. Pułkownik, dopiero pod sam koniec wojny awansowany na generała, występuje we wszystkich niemal odcinkach serialu, ma zawsze nienagannie odprasowany mundur zapięty na ostatni guzik i dziarską furażerkę.

To on przekazuje załodze rozkazy ze sztabu armii, jest dla czołgistów nieczym ojciec. Na postojach przysiadają do żołnierzy, rozmawia z nimi. Widząc frasunek na twarzy młodego radiotelegrafisty, pyta: „Skąd jesteś?”. „Z Gdańska” – odpowiada Janek. Dopiero teraz dowiadujemy się o jego

tragicznych przeżyciach związanych z wybuchem wojny. „Matka zginęła jak Niemcy podpalili dom, ja uciekłem, szukałem ojca, aż nad Ocean Spokojny trafiłem”. „Walczył?” – dąży pułkownik. „Niedaleko naszego domu” – mówi chłopak – „na Westerplatte”. Z tej wypowiedzi można wnosić, że Janek pochodził z Nowego Portu, gdzie przed wojną mieszkało około stu polskich rodzin. „Na Westerplatte...” – powtarza dowódca, ta nazwa przemawia do serca każdego Polaka.

1 Brygada Pancerna stanowiła część I Armii Ludowego Wojska Polskiego, która 31 lipca 1944 roku wyzwoliła Chełm i Lublin. Kiedy polscy żołnierze przekraczają Bug, są witani kwiatami, wokół czołgu zbiera się wiele osób. Janek zawsze stara się skorzystać z takiej okazji, aby zasięgnąć języka: „Słuchajcie... w trzydziestym dziewiątym... Słyszeliście gdzieś o poruczniku Kosie?”. „Ej synu, trzydziesty dziewiąty rok” – usłyszał w odpowiedzi. „Gdzie on, panie kapralu, wojował?” – ktoś zapytał. „Na Westerplatte” – odparł czołgista. Starszy mężczyzna spojrział na niego wymownie: „E tam, gadacie, tam przecież wszyscy zginęli, przeszło siedem tysięcy, wszyscy” – słyszy Janek. Wie, że to nie może być prawda: „To niemożliwe, na Westerplatte nie było nawet pięciuset”. Ale na próżno walczy z legendą. Ludzie wiedzą swoje, nie przekona mężczyznę spod Lublina: „Tak, tak panie, jak dobrze policzyć to inaczej wypadnie”.

Nasi dzielni czołgiści, przyjmowani jak bohaterowie, spóźniają się na proszoną kolację u miejscowej nauczycielki (Anna Lutowska). Kobieta mówi, że w gimnazjum Królowej Jadwigi, gdzie uczyła, zorganizowano w 1939 roku polowy szpital, do którego zwożono rannych żołnierzy z wszystkich stron. Tym, którzy wyzdrowieli załatwiano cywilne ubrania, aby mogli uciec przed niewolą, pielęgniarki brały od nich adresy, powiadamiały o ich losie rodziny. „Niestety, wiele mogił zostało na naszym cmentarzu z tych czasów” – wyznała nauczycielka. Janek postanawia tam zajrzeć. Gustlik stara się go pocieszyć: „Przecza twój ojciec żyje”. Czołgiści wędrują wzdłuż cmentarnych alejek, sprawdzają napisy na świeżych brzoźowych krzyżach, a przy okazji biorą do niewoli jednego volksdeutscha (Zygmunt Zintel) i grupę niemieckich żołnierzy ukrywających się na cmentarzu. Janek ma ochotę ich zastrzelić: „Być może ci Niemcy zabili mojego ojca i matkę!” – krzyczy wzburzony. Kiedy jednak kilka dni później, podczas walk o przyczółek wiślany pod Studziankami (do 17 sierpnia 1944 roku), zabije celnym strzałem niemieckiego czołgistę z 1 Dywizji Pancerno-Spadochronowej SS „Herman Göring”, przeżyje krótkie załamanie. Już niebawem w życiu



FOTO: ZBIGNIEW KOSYCIARZ / ARCHIWUM KFP

W Trójmieście wszędzie towarzyszyły aktorom tłumy ludzi

Janka pojawia się ognistowłosa Marusia Ogoniok lub „Ryszawa”, jak nazywa dziewczynę Gustlik. Nic dziwnego, że kiedy załoga postanowi nadać czołgowi imię, jej dowódca uzna, że najlepsze będzie: „Rudy”. Właśnie wtedy na pancerzu pojawi się stosowny napis, odciski rąk członków załogi i łapy Szarika. Wkrótce potem nasi czołgiści zostaną odznaczeni Krzyżem Walczących za szczególne poświęcenie podczas walk pod Studziankami.

W kolejnym odcinku trafimy z „Rudym” do Warszawy. Przewodnikiem po ruinach jest pochodząca ze stolicy Lidka. Podczas poszukiwań domu, w którym mieszkała, nasi bohaterowie razem z warszawiakami podejmują walkę z wyjątkowo w tym odcinku nieudolnymi Niemcami. Po spraniu patalachów i wzięciu ich w niewolę, Janek jak wszędzie pyta o ojca: „Panie, nie słyszał pan o poruczniku Kosie?”. Wąsaty mężczyzna z apaszką (Eliasz Kuziemski) zapewnia, że „nie wpadło w ucho”. Woła jednak sąsiadkę (Barbara Rachwańska). „Szukam pana Kosa” – powtarza czołgista. „Z Warszawy?” – pyta kobieta. „Nie, z Gdańska, walczył na Westerplatte” – uściśla Janek. „Na Westerplatte” – powtarza w zamyśleniu niewiasta. „Ludzie, panowie, macie trochę czasu?” – mówi do tłumu

zebranego na podwórzu. „Helcia!” – woła małą dziewczynkę. „Powiedz panom wiersz”. No i słyszymy „Pieśń o żołnierzach z Westerplatte” Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Po powrocie do czołgu Janek wpatra się w zdjęcie ojca wyjęte ze skórzanego portfela.

Na podejściu do wiślanego mostu „Rudy” zostaje trafiony, a czołgiści na jakiś czas – bez Olgierda, który uniknął poważnych obrażeń – trafiają do szpitala, gdzie „leżą” aż do wiosny 1945 roku. Nie było to zaplanowane, ale po prostu zdarzyło się. Przerwa w akcji była spowodowana wypadkiem, do którego doszło na planie filmowym. Na odpoczywającego Janusza Gajosa najechała ciężarówka i aktor doznał poważnego urazu. Scenarzysta musiał ten fakt wpasować w opowieść i trzeba przyznać – wyszło mu to znakomicie. Ten rodzaj wprawy miał się niebawem przydać, kiedy postanowiono, że serial, pierwotnie zaplanowany tylko na osiem odcinków, będzie rozszerzony o kolejnych trzynaście.

Pod Wejherowem

Kierunek dalszych przygód naszych bohaterów poznajemy na początku siódmego odcinka, dzięki dwóm stojącym na rozstaju

dróg drogowskazom. Jeden jest porządny, wysoki, niemiecki; drugi sojusznicy, naprędcie sklecony. Na nim znaleźć można napisy zarówno w języku polskim, jak i rosyjskim, między innymi „Kołobrzeg” i „Berlin”, tylko „Gdańsk” na samej górze nie ma rosyjskiego odpowiednika. Z niemieckiego drogowskazu możemy się dowiedzieć, że do Berlina pozostało jeszcze 247 kilometrów, mniej więcej tyle samo – 234 kilometry – jest według tej informacji do Gdańska. Napis „Danzig” umieszczono tuż pod „Kolberg”. Janek z pewnością musiał to dostrzec i było mu pewnie ciężko, że zamiast nad Motławę, ruszyć muszą bardziej na północ. Wypisani ze szpitala czołgiści są bowiem przekonani, że tam właśnie walczy Olgierd.

Do Gdańska zmierza natomiast sanitariuszka Marusia. Gdzieś po drodze, w biegu przeskakuje z samochodu jadącego na zachód do pojazdu zmierzającego na północ. Siedzi w nim już – zbieg okoliczności niezwykły – oddział Czernousowa. Ci z pierwszego samochodu są trochę zdziwieni: „A kuda wy rebiata, nie w Berlin?”. „Jeszcze Gdańsk nada oswobodit” – mówi z uśmiechem sierżant gwardii. Marusia żałuje, że nie jadą na Kołobrzeg, do którego zmierza w towarzystwie przyjaciół jej ukochany. ►



FOTO: ZBIGNIEW KOSYŃCZAK / ARCHIWUM KFP

Niczym oficjalne delegacje „pancerni” składali kwiaty pod pomnikiem na Westerplatte

Jednak czołgiści już wkrótce muszą zwerfikować swoje plany. Kiedy od przypadkowo spotkanego żołnierza dowiadują się, że Kołobrzeg już zdobyty (18 marca 1945 roku), ale nie było tam polskiej brygady pancerniej, która poszła wraz innymi oddziałami zdobywać Gdańsk, bez namysłu ruszają na północ. „Zwijaj graty, jedziemy do Gdańska” – woła Gustlik. „Ale ci się spełniło” – mówi do Janka. Wszyscy wiedzą, jak bardzo chłopak chciałby wrócić do rodzinnego miasta i znaleźć tam ojca. Chłopak jest poruszony tym, że jadą do Gdańska. Na stole obok samowara rozkłada plan miasta. „Ja jestem z Gdańska” – mówi do zdziwionych jego zachowaniem Rosjan. Pokazuje im, gdzie mieszkał i gdzie walczyli żołnierze na Westerplatte. Wspólnie ustalają, że jadąc cały czas w trzy dni dojadą na miejsce.

Są już blisko, gdy nagle przy drodze, w polu, dostrzegają „Rudego”. Czołg przedstawia dość żałosny widok, został trafiony prosto w silnik, w jego pancerzu dostrzec

można ogromna dziurę. Spotykają Wichurę, który przyjechał tu z grupą mechaników, aby zdemontować to, co się może jeszcze przydać, między innymi radiostację i celowniki. „Są nowe czołgi” – mówi – „mają działa 85 milimetrów”. Wichura jest kopalnią wiadomości „z ostatniej chwili”: „Nasi od przedwczoraj w Gdyni” (ponieważ miasto zdobyto 28 marca 1945 roku, więc mamy 30 marca 1945 roku i właśnie zdobywane jest centrum starego Gdańska). „Pobliskie Wejherowo wzięli z dwóch stron” (12 marca 1945 roku) – opowiada kierowca. „Od razu i prawie bez strat”. Okazało się, że do „Rudego” z zasadzki strzelano z działa przeciwpancernego i kiedy Olgierd usiłował ugasić płomienie, został trafiony serią. Pochowano go niedaleko czołgu.

Jednak ostatecznie, po naleganiu czołgistów, dowódca postanawia przenieść do „Rudego” silnik jednego z wozów uszkodzonych podczas walk pod Kackiem (trudno określić, o jaki Kack chodzi – Wielki czy

Mały, tak czy inaczej chodzi o dni przed 21-23 marca 1945 roku). Nie jest to zadanie proste, bo na przeszkodzie stoi nie tylko wróg, ale również – „straszliwe, nawet ciągnikiem nie dojedzie” – błoto. „My pojedziemy” – zapewniają czołgiści. Są pełni animuszu, chcą pomścić w boju śmierć swojego dowódcy. „Jak będziecie gotowi, ruszajcie w kierunku Rumi i meldujcie się na fali 74 metry” – rozkazuje pułkownik.

W kolejnych scenach wśród dowódców pojawia się tajemniczy, w randze porucznika, partyzant West (Stanisław Jasiukiewicz). Robi wrażenie dość dziwnego konspiratora, w kapeluszu, golfie i płaszczu. „Czy wy znajecie bunkier B?” – pyta Rosjanin. Mężczyzna doskonale wie, o jakie umocnienie chodzi. „Wybudowany dwa lata temu do obrony przeciwdesantowej” – mówi i pokazuje na mapie: „O! Właśnie tutaj, nad samym morzem, na wzgórzu”. Jest to główny punkt obrony niemieckiej, przedpole zaminowane, dojsście tylko od strony morza.

Radziecki dowódca jest przekonany, że wśród jego podkomendnych jest ktoś, kto mógłby podjąć się zajęcia bunkra, to specjalista od działań na tyłach wroga. „Jeśli nie uda mu się zdobyć nocą, trzeba go będzie rozbić ciężką artylerią nim nasi ruszą do ataku” – rozmawiają obaj dowódcy. West zgłasza swoją gotowość do udziału w akcji. Rosjanin ją odrzuca: „To nie wasze dzieło, wy nie najdziejecie drogi przez zaminowane pola”. „Nie macie do mnie zaufania” – wyraża swoją opinię partyzant. Te słowa być może stanowią słabe echo niechęci, a nawet wrogości, z jaką spotykali się partyzanci Gryfa Pomorskiego nie tylko wśród Rosjan. Członkowie tej organizacji byli w sposób szczególnie tępieni przez NKWD. „Jak chcecie, pomóżcie” – stara się go udobruchać pułkownik. „Rozbitą tank stoit здies” – Rosjanin odnajduje na mapie właściwy punkt. Pada propozycja, by West wskazał drogę, co umożliwi szybkie naprawienie „Rudego”.

A pozostawieni przy nim Gustlik i Grigorij czekają na pomoc i robią się głodni. Wokół śpiewają ptaki i wszystko wydaje się być ułożone na opak, no bo teraz front na wschodzie, a na zachodzie spokojne miasteczko Wejherowo. Wtem widzą, jak zbliża się do nich mężczyzna: „Wy jesteście na moim polu” – mówi, ale bez wyrzutu, z uśmiechem. Czołgiści, którzy mocno zgłodnieli, chcieliby kupić coś do jedzenia, lecz Kaszuba tłumaczy, że w mieście i tak nic nie kupią. Zresztą, przyniósł ze sobą kosz z chlebem i garniec grochówki. Mężczyzna mówi: „Czekamy tu na was od pięciu i pół roku”, a potem opowiada, jak tutaj było: „Dopiero jak zimą z 41 na 42 zawitał West i kaszubski Gryf, różne rzeczy zaczęły się dziać, a to policman zginął, a to wacht buda spłonęła, most na drodze poleciał”. „Jak było, jak nasi przyszli?” – zadają dość dziwne, jak na polskich czołgistów, pytanie (no bo niby, jak miało być?), a Kaszuba odpowiada dość enigmatycznie: „Dobrze wyszło”. Kiedy jednak żołnierze starają się dowiedzieć czegoś bliższego o Weście, stawia sprawę jasno – choćby wiedział, to nic nie powie. Partyzantka - wiadomo konspiracja.

Bunkier na bałtyckiej plaży

Akcja ósmego odcinka („Brzeg morza”) w całości dzieje się na Wybrzeżu. Od pierwszych ujęć możemy w napięciu śledzić, jak Czernousow, prowadząc czteroosobowy zwiad, do którego niespodziewanie przyłączył się Szarik, przechodzi przez pole minowe. Jest noc, na jednej z piaszczystych wydmy wznosi się ich cel, bunkier B. Towarzysz starszyzna mówi, że do poprzedniego dnia nie było w nim Niemców, dziś już są – widać ich i słychać. Rosjanie bez trudu zdobywają bunkier, jednak nie są w stanie, ze względu na awarię radiostacji, nadać meldunku o jego zajęciu. Wiedzą, że zaraz po świcie radziecka artyle-

ria zmiecie bunkier z powierzchni ziemi. Jedyńą ich nadzieją jest Szarik, pies ma przenieść list do naszych czołgistów, którzy po jego przeczytaniu poinformują sztab o sukcesie Czernousowa i jego ludzi.

Przez popołudnie i część nocy rosyjscy mechanicy pracowali przy „Rudym”. W końcu informują, że tank może ruszyć do boju. Nie odchodzi z nimi West. Janek pyta o przyczynę. Partyzant jest mało mówny, bez słowa podaje kartkę z rozkazem pułkownika: „Załoga Rudego. Przydzielam porucznika Westa, dowódcę oddziału partyzanckiego Gryf, do załogi”. Nowy dowódca czołgu, sierżant Kos, nie wydaje się z tego powodu specjalnie zadowolony. „W czołgu wojowaliście kiedy?” – pyta. „Jeszcze nie” – odpowiada mężczyzna w kapeluszu. „Rkm?” – prowadzi swój wywiad Janek. „Trochę się na tym znam” – pada w odpowiedzi i nie brzmi to dobrze. „A na radiostacji pan umie?” – Janek patrzy na nieznanego z nadzieją. Gdy tamten potakuje, kamień spada mu z serca: „Pojedzie pan jako czwarty. Nie ma co czekać dłużej, niech pan się rozejrzy w czołgu”.

„Rudy” rusza do walki, pędzi po rozmokłych polach, wśród zapadających ciemności. Nagle drogę zastępuje rosyjski żołnierz, wokół słychać odgłosy potężnej kanonady, na horyzoncie widać fajerwerki wybuchów, gdzieś tam toczy się walka. Czołgiści mówią, że jadą na Gdynię. Rosjanin tłumaczy, że fałszyści przerwali front i powinni zawrócić, i w bezpiecznym miejscu poczekać do świtu. Załoga wie, że jeśli na godzinę przed wschodem słońca nie trafi do swoich, wszystko przepadnie, nie wezmą udziału w bitwie. Nie pociesza ich nawet fakt, że odnalazł się Szarik. Nie zwracają na niego uwagi i dopiero o świcie znajdują doczepiony do obroży list. Jednak na próżno starają się skomunikować ze sztabem, gdyż zawodzi radiostacja, być może uszkodzona podczas trafienia. Postanawiają tam dojechać. West zna objazd i twierdzi, że powinni zdążyć. „Pełnym gazem pójdziemy” – mówi Grigorij, odwraca lufę i pędzi po piaszczystych wzgórzach.

Tymczasem w dowództwie trwają przygotowania do natarcia, jest chłodny poranek, godzina czwarta. Do ataku – ustala pułkownik – pozostało dwie i pół godziny. Artyleria zajmuje pozycje i przygotowuje się do ostrzału. Choć to dopiero wiosna, jest już jasno, jakby było lato. Pułkownik metalowym kubkiem gasi świeczkę, odsłania zakryte workiem okno w bunkrze. Wie, że wielkimi siłami będą musieli dokonać wielkich rzeczy. Zapowiada, że zostaną uruchomione wszelkie rezerwy, nikt nie zostanie na tyłach. Wokół toczą się zacięte walki, oddział łączący się z centralą jako „Modrzew” ma utrzymać jakiś ważny folwark. Można przypuszczać, że chodzi o majątek Suchy Dwór, który w od 1 do 3 kwietnia 1945 roku prze-

chodził z rąk do rąk podczas niezwykle zaciętych bojów. Brakuje samochodów pancernych, ponieważ większość sił została skierowana na silnie umocnione Orle koło Sobieszewa, gdzie wciąż bronią się Niemcy.

W tym samym czasie „Rudy” musi przezwyciężyć swój rajdowy przejazd. Drogę przecina głęboki parów wypełniony wodą. Wokół okolica bagnista, obok drogi tkwi zatopiony w błocie po uszy – kto zna okolice Pucka, wcale się nie zdziwi – niemiecki pancer. Czołgiści nieufnie spoglądają na Westa, to przecież on naważył tego piwa, że ich poprowadził. Zastanawiają się, czy to nie szpieg? Partyzant idzie do najbliższego gospodarstwa, a tam spotyka tego samego Kaszuba, który pod Wejherowem dokarmiał czołgistów. Szybkość, z jaką się przemieszcza i osobiste zaangażowanie w konspirację są ogromne. Mówi, że „wczoraj zaminowali pole, ale myśmy to w nocy wybrali”. Jednym słowem, ma pół wozu rozbrojonych „pigul”, które teraz pomogą zmienić miejscowy, nieprzyjazny dla „Rudego” krajobraz i zasypać przeszkodę. Załozde pomagają prawdziwe pospolite ruszenie. Są gospodarze: Węgorek, Schmidt i inni. Strata czasu wydaje się jednak zbyt duża. Na szczęście, nasi czołgiści spostrzegają, że przejeżdżając przez las uszkodzili antenę i prawdopodobnie dlatego nie mogli połączyć się ze sztabem. Wywołują „Wisłę”, gdy już zaczyna się ostrzał. Na szczęście Lidka czuwa i informacja o zajęciu bunkra przez Czernousowa w ostatnim momencie dociera do dowództwa.

„Rudy” szybko zajmuje pozycję bojową i czeka aż wozy niemieckie, Panthery, „przyjdą bokiem pod lufy”. Ma zniszczyć czołgi i ruszyć do ataku razem z fizylierami. W rejonie Oksywiu bronią się resztki niemieckiego korpusu pancernego. Kiedy, strzelając, nasz T-34 wychodzi w pole mamy przed sobą chyba największą w serialu scenę batalistyczną. Jest w nią zaangażowanych przynajmniej kilka czołgów, działa, kilka batalionów żołnierzy. Trzeba przypomnieć, że przy kręceniu zdjęć często używano zowanego jeszcze, oryginalnego poniemieckiego sprzętu, w tym artylerii i samochodów opancerzonych.

W scenie na wydmach widać bunkry i rozbite niemieckie wozy pancerne, w tle dostrzec można morze. Nie przeszkadza fakt, że jedna z sekwencji powtarza się w niemal tej samej formie kilka razy, skoro prezentuje się to całkiem przyzwoicie – wokół unosi się kurz, słychać wystrzały i gromkie „Urrra!”. Scenę na plaży, w której niemieccy żołnierze starają się uciekać na dwóch, może trzech szalupach, walcząc o miejsce na ich pokładzie, zlokalizowano w pobliżu torpedowni w Babich Dołach za Gdynią. Zbudowana na fundamencie z betonowych kasetonów, zatopionych w odległości trzystu metrów od

brzegu, stanowiła w latach wojny halę montażową torped. Znajdowały się tu również urządzenia do próbnych strzelań, mała elektrownia, warsztaty i zabudowania socjalne. Wraz z torpedownią na Oksywiu, tzw. Formosą i w połączeniu z pobliskim portem wojennym stanowiły wydzielony obszar „Torpedowaffenplatz”, posiadający własną kolejkę wąskotorową.

W filmie widać wyraźnie nieistniejące obecnie drewniane pomosty (ze względów bezpieczeństwa wysadzone w latach dwudziestych XX wieku), po których dostarczano do hal montażowych podzespoły torped, charakterystyczną betonową konstrukcję głównego budynku oraz kanciąstą wieżę. Niezwykle ciekawa, choćby ze względów turystycznych, budowla (były takie tylko dwie na terenie okupowanej Polski) od lat, niestety, zamienia się w ruinę. Oksywie, o które walczą nasi bohaterowie, zostaje zdobyte 4 kwietnia 1945 roku. Kiedy nazajutrz skapitulują niemieckie oddziały na Pogórze, można będzie uznać działania wojenne w rejonie Gdyni za zakończone. Choć Niemcy będą się jeszcze bronić do 11 maja 1945 roku na Helu i u ujścia Wisły.

Porucznik West, stojąc na plaży wśród rozradowanych żołnierzy polskich i radzieckich, jest wyraźnie wzruszony: „O, właśnie w tym miejscu 19 września hitlerowcy zdławił ostatni punkt oporu na Wybrzeżu, oddział Czerwonych Kosynierów”. „A ja myślałem, że Westerplatte najdłużej” – mówi Gustlik. „Ja też” – potwierdza Grigorij, odpowiednio już wyedukowany przez Janka. Stojący wokół strzelają z broni na wiwat. Strzela też Janek, ale inaczej. Alfabetem Morse'a – dwa razy kreska, raz kropka – wypisuje w przestrzeni dźwięku swoje nazwisko: Kos. Słyszy to West i podchodzi do niego. Już wie – ten młody czołgista to jego syn. Chłopak uważnie przygląda się mężczyźnie. Zaczyna rozumieć, dostrzegać podobieństwo, w jego oczach pojawiają się łzy wzruszenia: „Czy pan...?”. „Janek, synku!” – słyszy w odpowiedzi. Cieszy się załoga i Marusia, już prawie synowa. W tle widać plażę, po której prowadzą jeńców, a w oddali klif Orłowa, morze i czołg, na którym na długim drzewcu łopocze biało-czerwona flaga.

Miał to być ostatni odcinek serii, ale ogromna popularność filmu sprawiła, że postanowiono kontynuować tę opowieść. Powstała jednak pewna dysproporcja – pierwszych osiem odcinków obejmuje okres od – powiedzmy – 1943 roku do początku kwietnia 1945 roku, akcja pozostałych wcisnięta została w stosunkowo krótki czas, jaki pozostał do końca wojny, tj. 8 maja 1945 roku.

Gdańsk – początek nowej drogi

Dziewiąty odcinek („Zamiana”) zaczyna się – wśród odgłosów bombardowania – pre-

zentacją archiwalnych zdjęć zniszczonego Gdańska. Nie jest to jednak panorama ruin, w której można odnaleźć charakterystyczne budowle. Filmowa sekwencja równie dobrze mogłaby dotyczyć innego miasta doszczętnie zniszczonego podczas wojny. To samo można powiedzieć o gdańskiej ulicy, po której dziarsko wędruje Marusia. Są na niej gruzy, jeńcy, cywile, uszkodzone wozy – ot, wojenna rzeczywistość, ale brak tła, a w tle znajomego obiektu. Za to za oknem biura, w którym przyjmuje teraz ojciec Janka, obecnie ważna persona w nowych, cywilnych władzach miasta, widać wyraźnie kamienice Długiego Targu, a być może również wysoki dach Dworu Artusa. Pokój ozdabia ciężka gdańska szafa, na ścianie zawieszono godło (pozbawionego korony orła) i Manifest PKWN. „Znowu okręty Krigsmarine” – słyszymy komentarz do wybuchów za oknem. „Chcieliby dranie do reszty zniszczyć cały Gdańsk” – mówi pułkownik. To zdanie musiało naprawdę irytować tych wszystkich, którzy wiedzieli, że rzeczywiście odpowiada za spalenie miasta. Wprawdzie zdarzało się, że okręty niemieckie, jak ciężkie krążowniki „Lutzow” i „Prinz Eugen”, podczas walk o Oksywie wspierały oddziały lądowe, ale przecież to nie one zrzucały gdańską starówkę.

Nasz pułkownik robi teraz za petenta u cywili, stara się o zaopatrzenie dla swoich żołnierzy. Kiedy staje przy oknie, w sześciu szybkach widać blade odbicie rąsusa Głównego Miasta i fontanny Neptuna. Porucznik West w ostatnich dniach zmienił nieco swój image. Porzucił kapelusz i płaszcz, nosi teraz skórzaną kurtkę i biało-czerwoną opaskę na ramieniu. Już się nie dziwi, że wszyscy mówią do siebie per „obywatelu”. Obok nowego cywilnego komendanta miasta pojawia się oczywiście radziecki oficer, razem organizują zaopatrzenie dla miasta, rozważają wysłanie w morze rybackich kutrów. Świeże ryby przydałyby się bardzo.

Tłumy usiłują się wcisnąć do jego gabinetu, wejścia – zamykanego solidnymi, dwuskrzydłowymi drzwiami – bronią dwaj żołnierze. Były partyzant rozdaje kwity na chleb i transport, stara się wyłuskać z tłumu najbardziej potrzebujących. Kiedy jakiś człowiek mówi mu o grupie znalezionych w lesie stu dwudziestu jeńców w pasiakach, których wcześniej w kolumnie prowadzili esesmani, wie, że to ważne i od razu bierze sprawę w swoje ręce. Prawdopodobnie są to więźniowie obozu Stutthof, którym udało się uciec z „marszu śmierci”. I tłumaczy pułkownikowi: „Przyszliście przecież wyzwolić kraj i ludzi. Miasto musi żyć. Nie dam ze składu”. Żołnierz musi pogodzić się z tym faktem – teraz cywile dowodzą. West ma jednak dla niego propozycję: „Dam kwit na mąkę i barzę z holownikiem”. Proponuje: „Poślijcie swoich w górę Wisły, a to, co przy-

wiozą – połowa dla mnie. Zgoda?”. Pułkownik nie ma wyboru.

W budynku, gdzie za dnia w swoim biurze na piętrze przyjmuje West, przygotowany jest bal. To piękne wnętrze: ułożona z różnobarwnych kafli posadzka, szerokie schody, kolumnada, a na ścianach portrety patrycjuszki w złotych ramach. Czołgiści obok nich olejną farbą wypisują patriotyczne hasła, wieszają plakaty i zasłaniają „gapę”, która wieńczy szlachetny gzyms, kontrowersyjnej treści napisem: „Hitler świński cycek, biorą w dupę fryce”.

Janek i Marusia, korzystając z urlopu, chodzą brzegiem morza. „Przyrzeknijmy sobie, że zawsze będziemy razem”. „To nie będzie proste” – oto podsłuchany fragment rozmowy zakochanych. Chłopak przekazuje dziewczynie, co usłyszał od ojca: „Jak opowiada, to mi się nie chce wierzyć, jedno działo, parę ckm i trzymali się cały tydzień. To było wtedy bardzo ważne. Żeby cały świat słyszał strzały na Westerplatte”. Obok nich pojawia się kobieta w czerni, otulona długą chustą: „Nie widzieliście mojego synka, Mareczka? Rok temu wyszedł z domu i nie wrócił. Sześćdziesiąt lat. Dzień jest pochmurny, kobieta szalona.

Nadmorskie zdjęcia plenerowe do serialu realizowano zazwyczaj w okolicach Gdyni, Krynicy Morskiej i Piasków. Dlaczego więc plaża, którą widzimy, wydaje się tak znajoma, w oddali widać jakby cień wieży widokowej i sopockiego mola. To zapewne fatamorgana. Tę samą kobietę, szukającą zagubionego chłopca, nasza załoga ujrzy jeszcze raz, na ulicach wyzwolonego Gdańska.

Impreza w mieście jest suto zakrapiana piwem i nie tylko. Butelki latają z parteru na balkon, strzelają kapselki. West z dumą informuje pułkownika, że jego plan połowowy wszedł w fazę realizacji, zebrał kilku rybaków, a oni, na oczyszczonym przez radzieckie trałowce skrawku zatoki, zaczęli łowić. „A ryba jest?” – pyta z uśmiechem żołnierz. Dowódca przekonuje, że Janka trzeba zdemobilizować i posłać do szkoły. Ale młody czołgista zamierza ruszyć do Berlina. Na tę drogę dostaje nawet od ojca zgrabne, lecz ciut przyciasne przedwojenne oficerki.

Dyżurny Kaszuba, ten sam, co karmił czołgistów pod Wejherowem, a niedaleko Redy układał miny, wygłasza teraz apel do zebranych: mogą razem, od Gdańska, od Gdyni, od Wejherowa, od Kaszubów zebrać na nowy czołg dla polskich żołnierzy. Srebrna taca rusza wkoło, lądują na niej pieniądze i cenne precjoza. Podczas przyjęcia ogłoszone zostają zaręczyny Marusi i Janka. Kiedy Gustlik odpala na wiwat stojące, być może na Długim Targu, działo, huk powoduje, że gipsowa „gapę” pęka i odpada, a pod nią ukryty jest polski orzeł z czasów Batorego. Niemcy od wielu lat starali się za-

trzeć wszelkie ślady polskości Gdańska, białe lub złote orły zamalowywano czarną farbą, czasami nakładano nań nowe zdobienia, zazwyczaj miernej próby.

Nazajutrz nasi pancerniacy zajmują się pilnowaniem pracujących nad odgruzowywaniem miasta jeńców. Wtedy, po raz pierwszy i jedyny w serialu, dostrzec możemy wśród niemieckich szyldów nad sklepami herb Gdańska, a właściwie tylko jego dolną część – dwa krzyże i napis „Danziger Stadarchiv”. I wreszcie dowódca przywozi oczekiwany rozkaz: rano „Rudy” ma ruszyć wraz z samochodem Wichury do sztabu I Armii, na front.

Znajdująca się do końca maja 1945 roku w Gdańsku 1 Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte zakończyła swój bojowy szlak atakiem na stanowiska baterii nabrzeżnej na Oksywiu. Jednak wydzielona z niej kompania czołgów średnich rzeczywiście walczyła w operacji berlińskiej – w tej grupie znalazł się więc „Rudy”.

Ostatni miesiąc wojny

Nasz czołg kieruje się na niezidentyfikowany zamek w Schwartzefort i mija kolumny zmierzających na wschód cywilów z biało-czerwonymi flagami. Niektórzy z nich mają na sobie obozowe pasiaki. Kiedy wkrótce potem czołgiści łapią uciekającego przed nimi przestraszonego chłopca, wraca wspomnienie gdańskiej plaży i wędrującej po niej nieszczęsnej kobiety w czarnej chustce. „Pamiętacie tę kobietę z Gdańska?” – mówi Janek. „Może to jest ten Marek?”. Chłopiec ma jednak na imię Arnold i jest Niemcem, wojenną sierotą.

W tej części filmu pojawia się również jeden drobny, ale urokliwy bałtycki akcent. Bursztynowe serduszko, które, znalezione przez Franciszka Wichurę, trafia na szyję Lidki. Dziewczyna zawiesza je na aksamitnej wstążeczce, a kiedy Marusia pyta od kogo je dostała, warszawianka, podkochująca się w młodym Kosie, tak zręcznie unika jednoznacznej odpowiedzi, aby wyszło na to, że ofiarodawcą mógł być Janek. Ten zresztą wcale nie zaprzecza, a nawet w ramach przekomarzania prowokuje do zazdrości, mówiąc: „Prosiła, prosiła, to dałem”. Jeszcze przez jakiś czas nasza załoga, rezydują

w forcie nazwanym imieniem Olgierda, nie rozstaje się z morzem. Mężnie odpiera atak niemieckiego desantu, który 13 kwietnia 1945 roku, w dzień imienin Hermenegildy, ląduje na brzegu za sprawą podwodnej łodzi U-94, wkrótce potem zniszczonej przez zrzucone z samolotu bomby głębinowe.

To zapewne przypadek, ale szczególnie: w serialu, w którym nazwa i wspomnienie Westerplatte odgrywa tak ważną rolę, pojawia się aktor Zygmunt Hubner. To on w filmie „Westerplatte” (z 1967 roku) wcielił się w dowódcę polskiej składnicy. Teraz jako rotmistrz kawalerii, powracający do domu z oflagu, ginie bohatersko „waląc” z działą do Tygrysów. Jego rogatywkę czołgiści zabierają ze sobą do Berlina. Jednak zanim to nastąpi załoga wpadnie jeszcze w niezłe tarapaty i po przeprawieniu się na drugi brzeg Odry trafi do niewoli.

W odcinku trzynastym, zatytułowanym „Zakład o śmierć”, „Rudy” zostanie wystawiony na tajnym poligonie jako cel próbnych strzelań nowej przeciwpancernej broni. Mimo pomocy, jakiej udziela załodze tajemniczy oficer Abwehry (w tej roli miał gościć wystąpić Stanisław Mikulski, jednak do tego nie doszło), czołg otrzyma trafienie, a w jakiś czas potem spłonie doszczętnie w stogu siana. Załoga bez czołgu walczy na tamie gdzieś pod Ritzen (odcinek piętnasty „Wysoka fala”), którego ulice, a zwłaszcza umieszczone nad sklepami szyldy do złudzenia przypominają poznane przez nas jakiś czas wcześniej w Gdańsku. W roli niemieckiego miasta wystąpiła Bydgoszcz, a zdjęcia, na których widzimy sprzęt wojskowy w dużej ilości, jak przejeżdża raz z prawa na lewo, raz z lewa na prawo, kręcono na Rybim Rynku i w pobliżu śluzy na Brdzie.

Kiedy po dokonaniu wielu bohaterskich czynów przed załogą pojawia się znaczny pułkownik, nikt nie przeczuwa, jaką przynosi nowinę. Zresztą i on nie tak od razu przechodzi do meritum, ale z wprawą frontowego oficera stopniuje napięcie. W końcu jednak, niby mimochodem wspomina, że ma dla naszych żołnierzy „pudelko od Pomorza”. Młody Kos zaczyna się domyślać, ale wciąż nie może uwierzyć: Nowiutki T-34/85, zbudowany ze składek Pomorzan, stoi na podwórzu. Przywiozł go Wichura. Z listu od

ojca Janek dowiaduje się, że o przekazaniu nowej maszyny zdecydował sam pułkownik: „Zapewnił, że właśnie wam, jako wzorowej załodze, odda czołg. Niech was wiezie do zwycięstwa, a potem do domu”. Stanisław Kos zapewnia, że będzie czekał na powrót syna i całej załogi.

Wyśmienity stan techniczny nowiutkiego „gdańskiego” „Rudego” pomaga załodze w podejmowaniu trudnych zadań, choćby wtedy, gdy czołg w pełnym zanurzeniu musiał przemierzać zalane tunele berlińskiego metra. To ostatnie dni wojny, to, co miało swój początek na Westerplatte, już wkrótce zakończy się pod Bramą Brandenburską: faszyzm zostanie pokonany. O tym, co będzie dalej, nikt chyba specjalnie nie myślał – dokładnie tak, jak nowożeńcy podczas składania ślubnych przysięg. Podwójne wesele – Marusi i Janka oraz Honoraty (Barbara Krafftówna) i Gustlika – kończy serial. Podobnych zaślubin, gdy jedno lub oboje byli jeszcze w mundurach, zawarto w 1945 roku bardzo wiele. Po raz kolejny zatriumfowało pragnienie życia.

Na weselu pojawili się prawie wszyscy, którzy do Ustronia zjechać zdążyli. Większość z nich to nasi dobrzy znajomi, załoganci, żołnierze polskiej armii. Jest ojciec pana młodego, który trzy doby podróżował na południe ze Szczecina. Przygrywa folklorystyczny zespół, są konie i dorożki, okrągły chleb i wokół cudowna wiosna. Zdjęcie nowożeńcom i gościom robi sam autor powieści i scenariusza do filmu, a podczas wojny korespondent I Armii Wojska Polskiego, Janusz Przymanowski. Ta fografia zamyka heroiczny czas wojennych lat.

Epilog

W 2006 roku decyzją ówczesnego prezesa TVP Bronisława Wildsteina serial został zdjęty z ramówki jako „zakłamujący historię”, co wywołało zdumienie, liczne protesty i okazało się absolutnie nieudaną próbą wyrzucenia „Czterech pancernych i psa” z historii polskiej kultury masowej. Skąd ta popularność serialu i wysokie miejsce w różnorodnych rankingach? Zapewne stąd, że opowieść o dzielnych czołgistach i psie wpisuje się w klimat, który znamy z Trylogii. Nie na próżno w pewnym momencie polski dowódca, mówiąc o załodze „Rudego”, używa zwrotu „lepszych zagończyków próżno w całej Rzeczypospolitej szukać”. ■

„Czterej pancerni i pies”

Reżyseria: Konrad Nałęczki, Andrzej Czekalski; **Scenariusz:** Maria i Janusz Przymanowski, Stanisław Wohl, według powieści Janusza Przymanowskiego; **Kierownictwo produkcji:** Jerzy Nitecki; **Zdjęcia:** Romuald Kropat, Mikołaj Sprudin; **Muzyka:** Wojciech Kilar, Adam Wałaciński; **Montaż:** Roman Kolski; **Scenografia:** Wiesław Śniadecki, Zdzisław Kielanowski, Jarosław Świtoniak, Wojciech Krzysztofak; **Kostiumy:** Danuta Polis, Barbara Węgorek, Janina Koźmińska.

Zespół Realizatorów Filmowych „Syrena” (8 odcinków pierwszej serii i 8 odcinków drugiej serii), Przedsiębiorstwo Realizacji Filmów „Zespoły Filmowe” Zespół „Nike” – Warszawa (5 odcinków trzeciej serii)

Film czarno-biały, czas trwania odcinka od 45 do 53 minut

Wykorzystano m.in.:

„Gdańsk 1945. Wspomnienia 50 lat później”, Wydawnictwo „Marpress”, Gdańsk 1997;

Bielski M., Rezmer W., „Bitwy na Pomorzu, Szkice z dziejów militarnych Pomorza Nadwiślańskiego”, Wydawnictwo „Marpress”, Gdańsk 1993;

Żakiewicz Maciej, „Gdańsk 1945, Kronika wojennej burzy”, Polnord-Oscar, Gdańsk 2008.



„Ogromnie ucieszył mnie zapoczątkowany w »30 Dniach« cykl »Ulice« Pawła Huellego. Czytam, rozsyłam gdańszczanom rozproszonym w Polsce i po świecie, a nade wszystko delektuję się sama i wtedy następuje ta sama co zwykle konsekwencja – chęć stworzenia własnej opowieści. To właśnie po przeczytaniu »Bujnej Eweliny, czyli ulicy Sobótki« powstała »moja ulica« – napisała do nas Hanna Walentynowicz-Tkaczyk, autorka publikowanego obok tekstu.

Coraz częściej ulice stają się pretekstem do opowiadania historii Gdańska i losów gdańszczan, stają się »figurą«, która ułatwia budowanie i porządkowanie takich opowieści. Dzięki temu wiele konkretnych miejsc i zdarzeń ukazanych zostaje w nowych barwach, które wzbogacają naszą wiedzę i pamięć o mieście i ludziach.

Redakcja

Tekst: Hanna Walentynowicz-Tkaczyk

Moja ulica Wajdeloty

To było w 1945 roku, trzy miesiące po wojnie. Do Gdańska zewsząd ściągali ludzie pozbawieni domów, bo tu można było się zainstalować w opuszczonych niemieckich mieszkaniach.

Dwie walizki ocalałe z wojennej pożogi to był cały nasz dobytek. Dla ojca najważniejsze było to, że niebawem ruszy politechnika (w Warszawie była zupełnie zburzona), dla mamy najważniejsze było gniazdo, a dla mnie... sztyfona apaszka, którą wiatr zer-

wał mi z głowy kiedy siedziałam na kolanach Franka w rozsuniętych drzwiach bydlęcego wagonu unoszącego nas do Gdańska.

Franek był przyjacielem ojca. Obaj pochodzili z Wilna, obaj przed wojną mieszkali w Warszawie. Poznali się jednak dopiero na Majdanku. Tam miała swój początek ich niezwykła przyjaźń.

Gdańsk powitał nas rzęsim deszczem. Z tamtego czasu widzę jedynie krótkie migawki: ulicę Wileńską, gdzie zatrzymaliśmy

się do chwili znalezienia innego lokum, stosy nieżywych myszy, które codziennie z najwyższym lękiem i obrzydzeniem musiałam wynosić na śmietnik oraz odgruzowywanie kilku kolejnych mieszkań, które ku mojej rozpaczy zawsze zajmował ktoś silniejszy.

W końcu matka, trzymając mnie za rękę, weszła do mieszkania przy ulicy Wajdeloty 8 we Wrzeszczu, które niebawem miało stać się naszym pierwszym stałym powojennym gniazdem. Nie pamiętam kobiety, która

„Mój” dom na Wajdeloty 8 w obecnym stanie

otworzyła drzwi, jednak przydomek „szabrowniczka” używany w rozmowach dorosłych, utkwił w mojej pamięci. Mieszkanie na Wajdeloty służyło jej jako magazyn cennych przedmiotów wyszabrowanych z innych mieszkań opuszczonych po wojnie.

Było to ponadstumetrowe mieszkanie na pierwszym piętrze narożnego domu. Okna sypialni wychodziły na ulicę Konrada Wallenroda, okna pozostałych dwóch pokoi na Wajdeloty. Składało się z trzech ogromnych pokoi, dużej kuchni ze spiżarnią, łazienki, służbówki i długiego przedpokoju. W pokojach stały niezwykle urody gdańskie meble, fortepian, fisharmonia, mnóstwo wielkich olejnych obrazów w rzeźbionych złożonych ramach, stare sztychy, wyszukane bibeloty, porcelanowe zastawy i całe stosy cennych książek przeważnie oprawionych w skórę. W pokoju stołowym pozostawiono jedynie ścieżkę, prowadzącą na balkon wysokim wąwozem o pionowych, sięgających sufitu ścianach.

Mama bardzo szybko i jednoznacznie podjęła decyzję o naszej wprowadzce – natychmiast, gdy mieszkanie zostanie opróżnione. Była realistką, szybko i sprawnie poruszającą się w zastanej rzeczywistości, przeciwnie niż ojciec, który rozważał każdą decyzję przed jej ostatecznym podjęciem, szczególnie pod względem uczciwości. Z tego powodu uważany był za człowieka nieżyłowego. Gdyby to on miał decydować w sprawie mieszkania, zapewne ktoś sprzątnąłby je sprzed nosa.

Szabrowniczka sukcesywnie wywoziła skarby do Warszawy i kiedy przyszłiśmy odebrać klucze, w mieszkaniu został duży prostokątny stół, dwa obszerne małżeńskie łóża z nocnymi szafkami, które miały marmurowe blaty, potężna dębowa trzydrzwiowa szafa z lustrem i szufladami (stanowiła komplet z łóżkami i nocnymi szafkami), fisharmonia i zegar z kukułką oraz trochę książek, wśród których najwięcej było pisanych szwabachą. Całą ścianę w kuchni zajmował pięknie rzeźbiony gdański kredens pełen rozmaitych schowków, szufladek, wieżyczek i attyk – istne snycerskie cacko.

Mama przyjęła fakt istnienia tych wszystkich przedmiotów w sposób zupełnie naturalny, natomiast ojciec był poruszony. Nerwowo przemierzał pokój tam i z powrotem, wzrok miał chmurny, co niezbiecie świadczyło o tym, że na pewno zaraz wybuchnie.

– Przecież to nie jest nasze – powiedział podniesionym głosem groźnie marszcząc brwi – należy to wszystko zwrócić!

– Ciekawe komu? Może mam to wywieźć do Niemiec i tam poszukać właściciela? – odparowała mama – a może z powrotem wciśnąć szabrownicze?



FOTO: HANNA VALENTYNOWICZ-TACZYŃSKA

Na chwilę umilkła, ponieważ argumenty uznawała za dość mocne, ale mimo to dodała z nutą sarkazmu w głosie, by je niejako przypieczętować:

– A nasze warszawskie meble? Na pewno nam je zwrócą tacy naiwni jak ty, na peeeewno!

Ojciec wprawdzie zamilkł, ale nie przestał chodzić tam i z powrotem. Widziałam jak mięśnie jego twarzy na przemian napięły się i rozluźniały, jakby żuł niewypowiedziane słowa zamiast obiadu, który właśnie

mama postawiła na stole. Babcia, która dołączyła do nas po zlikwidowaniu na wpół zburzonego domku w Warszawie, dyplomatycznie milczała. Widać było jednak po jej minie, że w pełni solidaryzuje się z postawą mamy. Wtedy ja – osoba sześćioletnia – chcąc załagodzić spór między rodzicami, wtrąciłam swoje trzy grosze:

– Tato, zróbmy tak: jeśli ktoś przyjdzie po meble, to je oddamy, jeśli nie, to będą nasze.

Ojciec tylko wzruszył ramionami, ale i nieco się uspokoił. Stało na moim.



Cukiernia Paradowskiego na rogu ulic Wajdeloty i Grażyny

wiecznym dworze Kuźniczki. Nie miałam też pojęcia kto to jest „wajdelota” i dlaczego pobliskie ulice noszą nazwy Grażyny, Konrada Wallenroda, Aldony, Danusi...

Wtedy bardziej interesowały mnie gimnastyczne wyczyny na drabinkach w ogródku jordanowskim koło wrzeszczańskiego dworca kolejowego, włochate liszki, które objadły ze wszystkich liści wielkie stare lipy na mojej ulicy oraz obserwowanie codziennego rytuału zapalania i gaszenia gazowych latarni, z których jedna stała tuż pod naszym balkonem.

Ogródek jordanowski – skrawek dawnego parku Kuźniczki – poza tym, że stanowił plac zabaw dla dzieci naszej ulicy, był też siedliskiem uliczników, którzy w ogrodzeniu parku mieli swoje tajemne przejście do browaru, skąd kradli obręcze do beczek, by sprzedawać je w „Złomowcu” na Kościuszki. Zadziwiające było to, że mimo tych notorycznych kradzieży, sterta obręczy w browarze wcale się nie zmniejszała. Być może browar odkupywał je w „Złomowcu”, podczas gdy ulicznicy przepalali w kącie ogródka „zarozone” w niecny sposób pieniądze.

Między ogródkiem jordanowskim i „Lotosem” znajdowała się sala widowiskowa, która tętniła życiem artystycznym (bodaj do lat sześćdziesiątych XX wieku, ale nie mam pewności, gdyż wtedy na Wajdeloty już nie mieszkalam). Co roku wystawiano jasełka, kilka razy „Krakowiaków i górali”, a w pięćdziesiątym piątym roku moja klasa dziesiąta II Liceum Ogólnokształcącego im. Pniewskiego wystawiła „Wieczór mickiewiczowski”. To było przeżycie nie mające sobie równych. Wszystko jak w prawdziwym teatrze – własnoręcznie wykonana scenografia, stroje wypożyczone z teatralnej wypożyczalni, oświetlenie, garderoby, charakteryzacja, próby i... trema! Nie uwiodły nas owacje widowni – nikt nie odważył się po maturze zdawać do szkoły teatralnej. Wszystko przez tę tremę. Nasz „Wieczór” był jedynym spektaklem teatralnym, jaki kiedykolwiek udało się nam w życiu zagrać. Tym milej po dziś dzień go wspominamy.

Wtedy na Wajdeloty sławniejsi od nas byli tylko bracia Paradowscy. Jeden z nich miał zakład fryzjerski, drugi, mieszkający po przeciwnej stronie ulicy, był cukiernikiem. Z dwóch powodów cukiernia Paradowskiego była dla mnie bardziej pociągająca od zakładu fryzjerskiego. Pierwszy, to oczywiście pyszne ciastka, drugi to jej wystrój.

Pani Paradowska zbierała ręcznie malowany wrocławski fajans. Ogromna jego kolekcja zdobiła cukiernię na rogu Wajdeloty

Dla mnie wszystko było lepsze od wojennych bombardowań, bezustannego krycia się w schronach, ciągłych ucieczek z miejsca na miejsce. Miałam też najzupełniej dość odgruzowywania z mamą kolejnych mieszkań we Wrzeszczu na Jaśkowej Dolinie, w alei Wojska Polskiego, z których żadne nie stało się naszym. Nadszedł czas upragniony – czas prawdziwej stabilizacji, zakotwiczenia się w jednym miejscu, pod jednym dachem i był to wystarczający powód, by cieszyć się każdą chwilą i każdym drobiazgiem. Jednak dzwonki do drzwi przyprowadzały mnie o skurcz serca. Wyobrażałam sobie, że oto właśnie dzwoni właściciel i trzeba będzie postąpić uczciwie, oddać wszystko, nawet fisharmonię,

fascynujący zegar z kukułką i pozostać z dwoma walizkami przywiezionymi ze zburzonej Warszawy. Po nieszczęsne meble nikt się jednak nie zgłosił i wkrótce cała sprawa przyszła.

Ulica Wajdeloty z jej historią i zabytkami wówczas w ogóle mnie nie interesowała. Długo nie miałam pojęcia, iż rzeczka, płynąca z pobliskiego browaru, która gdzieś nagle przepadała, by znów pojawić się na Konrada Wallenroda i Aldony, nosiła nazwę Strzyża. Dla dzieci naszej ulicy była po prostu „rzeczką”. Długo nie wiedziałam, że chińska restauracja „Lotos” na Wajdeloty 13, gdzie kelnerzy byli ubrani w żółte marynarki i czarne spodnie, znajdowała się w XVIII-

FOTO: HANNA WALENTYNOWICZ-TRACZKA



FOTO HANNA WALENTYNOWICZ-TRACZYK

Placyk z kasztanowcem i wlot na ul. Wajdeloty

i Grażyny, gdzie narożny wykusz domu podpierала pękata kolumna. Kiedy w cukierni uformowała się kolejka, z wielką uwagą przyglądałam się wrocławskim cudelkom – różnej wielkości lichtarzom, talerzom, rozmaitym dzbanuszkom, filiżankom i solniczkom. Nawet żyrandol był fajansowy. W tamtych czasach zdobycie jakiegokolwiek wyrobu słynnego „wrocławka” graniczyło z cudem, a pani Paradowska miała ich setki. Mówiło się, że musi mieć jakieś „dojście”. A może miał tu miejsce handel wymienny – my wam ciastka, wy nam fajans? Kto wie, jak było naprawdę...

Ulica Wajdeloty kończyła się rondem okalającym niewielki placyk, na którym rósł rozłożysty kasztanowiec. Patrząc wprost przed siebie, na drugą stronę placyku, można było dostrzec piekarnię. Dzieciństwo, które nieszczęśliwie przypadło na czasy komuny, trawiliśmy z bratem na „polowa-

niach” na świeży chleb. Pamiętam, jak wybiegałam z domu i natychmiast przechodziłam na drugą stronę ulicy, gdzie znajdowała się większość sklepów, by w drodze do przekłetej piekarni zrobić przegląd wystaw, na których polegiwał zawsze ten sam zestaw zeltowanych towarów. Nadzieja, że nagle zobaczę coś ekscytująco nowego, szybko ulatniała się wraz z zawieszistymi wyziewami pobliskiego browaru i odpływała z gnijącymi szczątkami leniwą rzeczką Strzyża.

Jedynie wystawa sklepu żelaznego, który znajdował się tuż przed placykiem, nie płowiała. Od lat spoczywał na niej ten sam sierp (!?), te same obcęgi, pilniki, raszple, hydrauliczna „żabka”, zmatowiałe ocynkowane wiadro i jakieś inne metalowe przedmioty, o których zastosowaniu nie miałam zielonego pojęcia. Przed tą wystawą zawsze zatrzymywałam się najdłużej, najzwyczajniej nieświadomie odwlekając stanę w nudnej kolejce po chleb. Ten sklep to prawdziwy strażnik ulicy. Tkwi w tym samym

miejsu do dnia dzisiejszego, podczas gdy inne znikły zupełnie lub zmieniły branżę.

Ulica Wajdeloty, jej najbliższe okolice, dom pod ósemką i nasze mieszkanie długo nosiły piętno niemieckości. W mieszkaniu podobnym do zasobnego kufra, które wydawało mi się bardziej przyjazne niż to, co działo się na zewnątrz, czegokolwiek bym nie tknęła, było dziwne, nieznane, obce i dlatego niezmiernie interesujące. Na przykład, niemieckie książki ze złoceniami (po licznych przeprowadzkach zachowała się „Die Kunst des XIX Jahrhunderts” własność Gerdy Weisker), meble pełne tajemniczych zakamarków, z których każdy pachniał inaczej i fioletowa tapeta w sypialni w czarne (!) motywy kwiatowe, podklejona niemieckimi gazetami.

Z pozostawionych przez szabrowniczkę mebli najważniejszy był gdański poniemiecki stół. Był stary, solidny, dębowy. Jego duży blat wspierał się na mocnych, śli-



makowatych nogach. Rozkładał się w dwóch etapach. Przy pełnym rozłożeniu po obu jego końcach wyskakiwały podwójne smukłe nóżki i wtedy mogły przy nim wygodnie zasiąść dwadzieścia cztery osoby!

Wszystko, co najlepsze w moim życiu, nie-rozerwalnie wiąże się z tym stołem. To był dobry stół. Nie wiadomo do kogo należał, zanim stał się nasz. Poprzedni właściciel musiał go jednak naładować samymi dobrymi fluidami, które każdego dnia emanowały z jego blatu. Wiezorami zasiadaliśmy w kręgu światła padającego z dużej lampy, która miała zielony abażur z naturalnego jedwabiu. Chyba jeszcze wtedy w ogóle nie produkowano w Europie sztucznych tkanin. Lampę można było podnosić i opuszczać przy pomocy specjalnego mechanizmu złożonego z rolek, linek i przeciwwagi. Pokój chował się w półmroku jak teatralna widownia, a światło lampy wydobywało blat stołu, na którym – jak na scenie – rozgrywały się nasze rodzinne spektakle.

Czasem wymaga to ode mnie sporego wysiłku, by oprócz tego stołu przypomnieć sobie jeszcze jakiś dawno zapomniany szczegół z mieszkania na Wajdeloty. Tak było z oknami i klamkami.

„Szwabskie” okna, tak w najwyższym wzburzeniu podczas mycia nazywała je mama, nie były przeze mnie zauważane. Wszystko co tam było – rowki, zbiorniczki na wodę, nacięcia, wycięcia, profile, wydawało się normalne, zwyczajne i niegodne zainteresowania. Zamykane były na metalowe, esowate klameczki z okrągłym uchwytem, ludzaco przypominającym korbkę starego ręcznego młynka do kawy. Od kiedy pamiętam, mama narzekała na te okna, że wielkie, że landarowate, że mają tyle zakamarków do mycia. Istotnie, przy ich wielkości i całkiem niebagatelnej liczbie, mycie musiało być ogromnie uciążliwe.

Klamek, podobnie jak okien, nie zauważałam, więc z równie wielkim trudem je sobie przypominałam. Miały ozdobne części metalowe, stanowiące zakończenia uchwytu oraz pięknie odlewaną ozdobną licówkę przymocowaną do drzwi. W dłoń ujmowało się drewniany hebanowo-czarny ścięty stożek, idealnie wypolerowany i niezwykle przyjemny w dotyku.

Ach, klamki... Zawsze wzdycham, kiedy o nich pomyślę, tak, jak o gdańskim dębowym stole na ślimakowatych nogach... Gdybym wiedziała, że mieszkanie na Wajdeloty zostanie sprzedane, chyba zabrałabym stamtąd wszystko – klamki, gdański stół, piękną szafę biblioteczną... A tak, zabrał to ktoś inny...

Porcelanowa rączka na mosiężnym łańcuszku w naszej łazience miała kształt wy-

FOTO HANNA WALENTYNOWICZ-TWIGZK

Dla dzieci z naszej ulicy Strzyża była po prostu „rzeczką”



FOTO: HANNA VALENTYNOWICZ-TRACZYK

Dopiero teraz, jeszcze bardzo nieśmiało, ulica zaczyna odżywać

dłużonej kropli. Nie pamiętam, by tkwił na niej jakiś napis. Chyba go tam nie było, bo gdyby pisało nań „Langfuhr” – jak w łazienkach mieszkań moich koleżanek – na pewno zapytałabym ojca, co to znaczy. Nigdy nie pozostawiałam takich spraw bez wyjaśnienia. W drzwiach do każdego z mieszkań znajdował się podłużny otwór zamknięty blaszką na zawiasie z napisem „Briefe”. Każdy by się domyślił, że chodzi o listy. Z porcelanowych kurków nad wanną nauczyłam się, że „warm” i „kalt” oznacza „gorące” i „zimne”. To były pierwsze niemieckie słowa, jakie poznałam. Dopiero później, podczas zabaw z innymi dziećmi, mój Wörterbuch poszerzył się o „hakenkreutz”, „führera”, „hände hoch” i „was ist das?” (należało odpowiedzieć: „kapusta und kwas”). Do dalszego poszerzenia mojej znajomości niemieckiego przyczynił się Rudy Klaus.

Dzierżąc w dłoni buteleczkę z atramentem, codziennie biegłam ulicą Grażyny do szkoły podstawowej na Pestalozziego. Tuż za połową trasy pojawiał się stary Niemiec,

który znany był z tego, że swoją zakręconą laską łapał za nogi polskie dzieci. Pewnego razu zahaczył i mnie! Wyłożyłam się jak długa na chodniku, buteleczka potłukła się, a ja cała obita i usmarowana na niebiesko, ze szlochem wróciłam do domu. Pamiętam, jak po tym zdarzeniu bardzo dokładnie wertowałam słownik polsko-niemiecki, by znaleźć odpowiednie określenia na Rudego Klause. Biegłości w posługiwaniu się słownikiem nabrałam właśnie wtedy. Szukałam w tak wielkim poczuciu niezawinionej krzywdy, że po prostu musiałam znaleźć. „Dumme Affe!”. To było to! Ta właśnie „głupia małpa” była mi niezbędnie potrzebna. Bardziej niż nowa buteleczka z atramentem. Od tamtego czasu, kiedy zbliżał się dom Rudego Klause, a ja z daleka widziałam starego, czekającego ze swoją zakrzywioną laską na schodku, zawczasu wybierałam drugą stronę ulicy i na wysokości jego domu, biegnąc jak szalona, darłam się na całe gardło: „Dumme Affe! Dumme Affe!”, a stary Rudy Klaus groził mi nieszczęsną laską i wykrzykiwał coś, czego mimo moich dogłębnych peregrynacji słownikowych zupełnie nie rozumiałam.

Niemieckość towarzyszyła mi nie tylko w domu i na ulicy Wajdeloty. W szkole podstawowej wiele koleżanek i kolegów nosiło niemieckie nazwiska – Taube, König, Sienger, Schröder, Stadelmeier. Co prawda mówili oni po polsku, ale z obcym mi akcentem, a co najbardziej dziwiło, w jakiś tajemniczy sposób właśnie oni na zawsze znikali ze szkoły...

Pamiętam, że często byłam zależniona, kiedy słyszałam niemiecką mowę Rudego Klause, czy wymowę nazwisk szkolnych kolegów. Lęk budziły też we mnie betonowe bunkry, które napotykałam w pasie nadmorskim, chodząc na plażę, i nawet wrak wyrzucony na piasek koło Brzeźna. O Niemcach mówili rodzice, w szczególności ojciec. Czasem udawało mi się podsłuchać jego mrozące krew w żyłach opowieści z niemieckich obozów koncentracyjnych. Babcia, ciotki, wujkowie opowiadali o warszawskim powstaniu, w którym brali udział i często wtedy padało słowo „Niemcy” albo „Szkopy”. Niemców widziałam na czarno-białych filmach w kinie „Bajka”, w „Niemców” bawili się chłopcy na podwórku.

Z naszego balkonu widziałam scenę, która do dziś dnia stoi mi żywo przed oczami. To

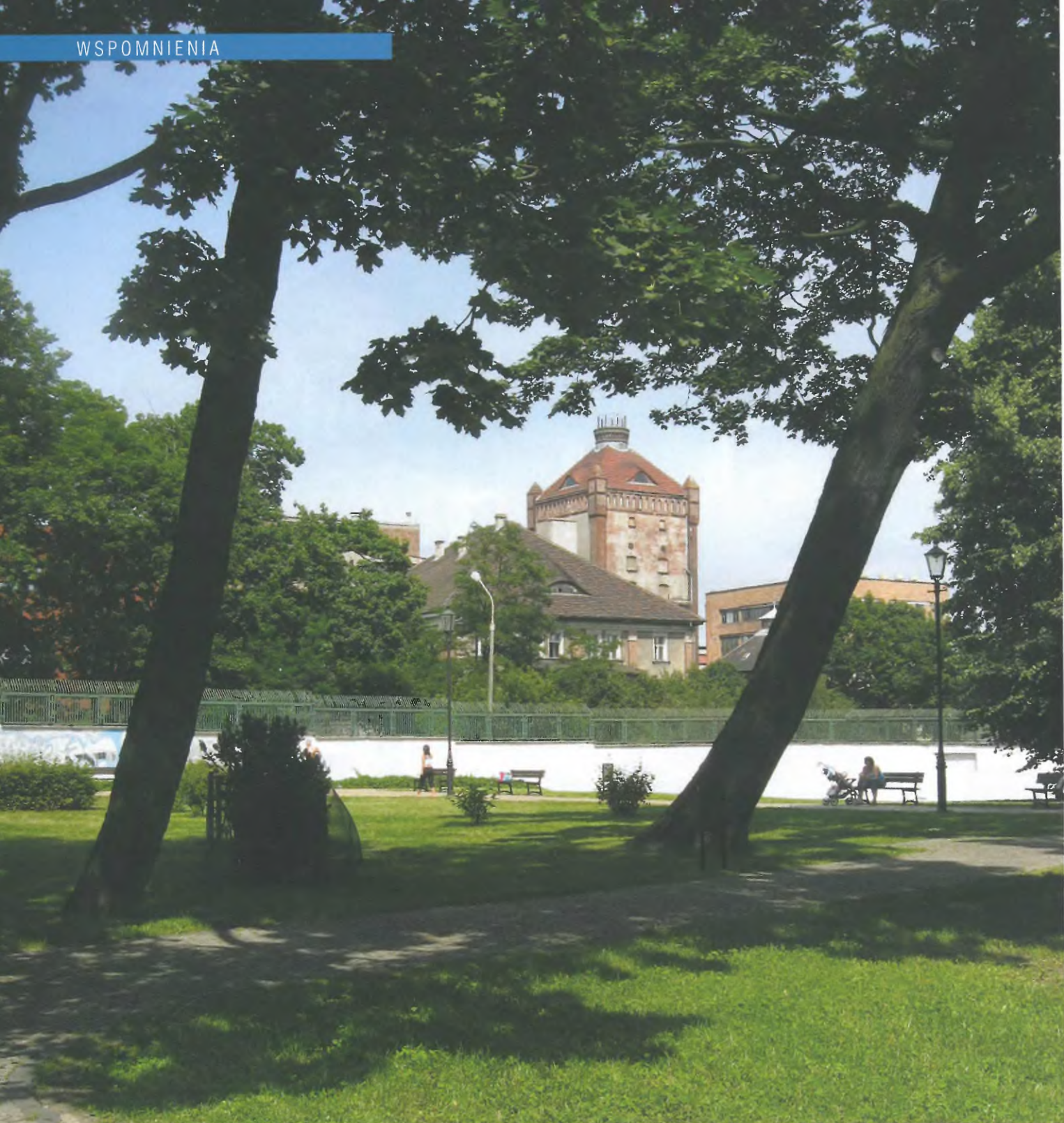


FOTO HANNA VALENTYNOWICZ-TRACZYŃSKA

Zrewaloryzowano ogródek jordanowski w pobliżu zabudowań dawnego browaru

była chyba wczesna jesień czterdziestego piątego roku. Pamiętam tłum Niemców podążających jezdnią ulicy Wajdeloty w kierunku dworca we Wrzeszczu, gdzie czekały podstawione pociągi, które miały wywieźć ich do Niemiec. Kobiety miały na głowach szale i chustki związane nad czołem w duży węzeł. Często pchały przed sobą dziecinne głębokie wózki. W niektórych wiozły małe dzieci, w niektórych zaś zapakowany i powiązany sznurkami dobytek. Stałam na balkonie z ojcem i patrzyłam na ów milczący tłum, na który sypał się grad kamieni. Czasem można było usłyszeć krzyk i płacz trafionych

oraz wyzwiska i szydercze śmiechy towarzyszące tej strasznej procesji.

Ojciec przygarnął mnie do siebie i stał obok milczący... Na pewno był myślami na Pawiaku w Warszawie, w obozach koncentracyjnych na Majdanku i w Oranienburgu, skąd niedawno cudem udało mu się powrócić. Na pewno dziwił się sam sobie, że mimo potwornych okrucieństw, jakich zaznał od Niemców, nie potrafił teraz poczuć nienawiści do cywilnej ludności, która ponurą rzeką płynęła w stronę dworca we Wrzeszczu. Nie rozumiałam ojcowego milczenia na tle wyzwisk i fruujących kamieni. Przecież to on właśnie miał dostatecznie poważne powody, by robić to, co inni. A mimo to stał błądy i tylko milczał... W końcu zauważył

mój pytający wzrok i powiedział: „W każdym narodzie są ludzie dobrzy i źli. Nie wszyscy Niemcy są źli. Zapamiętaj”. Zapamiętałam...

Z biegiem lat niemiecka atmosfera ulicy i domu pod ósemką rozpraszala się coraz bardziej, aż w końcu przyszło oswojenie i znikła zupełnie.

Dom i cała ulica Wajdeloty już od samego początku, to znaczy od momentu kiedy się tam sprowadziliśmy, skazane były na degradację. Nie mogło być inaczej, skoro opiekę nad nimi sprawowała komunistyczna komunalna administracja. Ponieważ jej główną cechą był absolutny brak zaangażowania w tak zwane dobro społeczne czyli niczyje, dom nie-

gdyś piękny i wygodny dla jego lokatorów, musiał z roku na rok podupadać.

Kiedy wchodziło się, już w długim korytarzyku prowadzącym do pięknych wahałowych drzwi z matowymi szybami pokrytymi kwiatowym ornamentem (obecnie ich nie ma), można było zauważyć pod sufitem gipsową sztukaterię pokrytą warstwą szarego kurzu. W mieszkaniu sztukateria były we wszystkich pokojach. Ciągnęły się pod sufitem wzdłuż wszystkich ścian, jak cudownie rzeźbiony fryz. Tam, gdzie umocowane były żyrandole, sztukateria przybierała kształt koła. Przy kapitalnym remoncie domu znikły, jako „niepotrzebny zbiornik kurzu”, według pana od spraw technicznych z administracji domu. Zostały jedynie w korytarzyku na parterze, ale obecnie są tak zaniedbane i zniszczone, że lepiej, by ich tam wcale nie było. Nieraz zastanawiałam się dlaczego nie przeszkadzały poprzednim lokatorom? Czy lubili kurz i brud? Wszystko temu przeczyło, bo każdy przedmiot zastany w tym mieszkaniu był czysty i zadbane.

Dziś mogę sobie tylko wyobrażać jak ulica Wajdeloty wyglądała przed wojną. Przede wszystkim na ulicy Marienstrasse – bo tak się wtedy nazywała – rosły duże, stare lipy. Nie była, jak dziś, klepiskiem pozbawionym najmniejszej roślinki. Stara lipa, o której ledwie napomknęłam, zaglądała swoimi gałęziami na nasz narożny balkon nad drogerią, dając nieco cienia i żarłoczne włochate liszki, które babcia strącała szczotką do zamiatania, bo w szalonym tempie pożerały liście. W handlu albo nie było żadnych środków chemicznych do walki z tymi szkodnikami, albo na istniejące środki nie było pieniędzy.

Tak czy owak, wyszło na to, że jedynym sposobem na pozbycie się liszek było wycięcie (!) sędziwego, ale jeszcze całkiem zdrowego drzewa! Na balkonie i na ulicy zrobiło się okropnie pusto. I tak padało drzewo za drzewem, aż do zupełnego ogolocenia znacznej części ulicy.

Teraz już jak na dłoni widać było z okien i z balkonu „Bar pod Budą” i jego bywalców, którzy w korytarzyku naszego domu urządzili sobie azyl, gdy wykidajło zręcznie usunął ich ze spelunki i wykopał na kocie łby jezdni. Klatka schodowa zaczęła cuchnąć moczem, a z balustrady przy schodach znikły coraz to nowe, toczono jeszcze przed wojną balaski. Pewnie menele używali ich jako „argumentów” w swoich półprzymiślowych dyskusjach. Kilka razy, wracając po ciemku z lekcji muzyki, zdarzyło mi się na klatce schodowej nadebrać na miękki, ciepły, często mokry tobół, który wydawał nieokreślony pomruk i przewracał się na drugi bok.

Nie ma już „Baru pod Budą”, w którym przez brudne szyby można było dostrzec kłę-

biący się tłum ledwo widocznych w gęstym papierosowym dymie mężczyzn, popijających czyściec pod słonego śledzia. Zastąpił go elegancki lokal „Valdonas” (zapewne nowy właściciel pomyślał: „Wal do nas”, potem „W” zmienił na „V” i wszystko napisał razem). Weszłam. Po raz pierwszy w życiu... Z panującą tu atmosfery, zaobserwowanej kiedyś z okien mojego domu, nie zostało dosłownie nic. Tylko na półeczce stała, jako ozdoba, dawna emaliowana tabliczka z numerem domu 22...

Po drzewach przyszła kolej na stare gazowe latarnie, zapalane i gaszone przez latarnika zawsze o tych samych porach. Jego tajemnicze manipulacje bardzo lubiłam obserwować z balkonu. Któregoś dnia wróci-

Jakby budziła się z bardzo długiego koszmarnego snu. Remontuje się dwór Kuźniczki, coś dzieje się obok dawnej sali widowiskowej. Przy pięknie zrewaloryzowanym ogródku jordanowskim znikły handlowe budy, ziemia jest zryta i tylko patrzeć jak robi się pięknie. Chciałabym doczekać dnia, kiedy zostanie wyburzony haniebny hotel robotniczy i w jego miejsce stanie „coś w stylu” i kiedy w końcu przestanie się mówić i pisać w trójmiejskich gazetach, że na Wajdeloty powstanie deptak.

Może kiedyś zrobi się tu pięknie, ale to miejsce już nigdy nie będzie „moje”. „Moje” będzie tkwiło jedynie w mojej pamięci i w moim sercu. A jednak nie mogę



FOTO: HANNA VALENTYNOWICZ-TOKCZYK

łam ze szkoły i przeżyłam szok. Na mojej ulicy nie było ani jednej gazowej latarni! Po prostu znikły na zawsze...

Przez lata „komuny” dom na Wajdeloty 8 pozbywał się z roku na rok swojego piękna, zacierając się jego historia, niepotrzebnymi stawały się przedmioty, które dziś odnaleźć można jedynie na Jarmarku Dominikańskim. Pewnego dnia, przechodząc ulicą Wajdeloty, spojrzałam na drzwi pod numerem 8. Znikła rzeźbiona tabliczka z dzwoneczkami, znikła rzeźbiona klamka z głową lwa u nasady. Owe cacka zastąpiono niklowaną klamką z elektrycznym zamkiem i zwykłą domofonową tabliczką, jakich tysiące na każdej ulicy.

Dopiero teraz, bardzo jeszcze bardzo nieśmiało i powoli, ulica zaczyna odżywać.

Remontowany jest dwór Kuźniczki

oprzeć się poczuciu zadowolenia, że udało mi się – mimo stalinizmu, mimo trudnych powojennych warunków i długich lat „komuny” – przeżyć dzieciństwo i wczesną młodość na „mojej” Wajdeloty, w otoczeniu bardzo jeszcze widocznych śladów przedwojennych czasów, które tak ogromnie różnią się od dzisiejszej plastikowej rzeczywistości. Udało mi się zobaczyć domy, które były prawdziwymi domami, a nie betonowymi boksami. Udało mi się zamiast „paździorów” zobaczyć piękne meble z pełnego drewna, wypieszczone dłońmi rzemieślników, którzy mieli bardzo dużo czasu. ■

Obrońców Westerplatte — Georgstrasse

Tekst: Paweł Huelle

Pielgrzymki literackie mają już swoją tradycję. Znam takich wielbicieli Goethego, którzy udają się do Włoch specjalnie śladami wielkiego poety, oglądają te same co on miejsca, starając się przy tym o zgodność dat, czyli dokładnie rekonstruują, dzień po dniu, wielką podróż jego życia, choćby w jakimś fragmencie. Można też pielgrzymować tropem literackiej fikcji. Co roku – 16 czerwca – na pamiątkę wydarzeń opisanych w „Ulisiesie” Joyce’a, przez Dublin rusza osobliwa wycieczka wielbicieli tej powieści, zwana – od jednego z bohaterów – Bloomsday. Wszystko bowiem, co wydarzyło się w tej fikcyjnej historii, miało miejsce właśnie 16 czerwca 1904 roku, a ponieważ jest to proza nasycona topografią miasta bardzo szczegółowo, pielgrzymujący czytelnicy wędrują od miejsca do miejsca, przez cały niemal dzień. Wędrówka śladami bohaterów Grassa po Gdańsku i Wrzeszczu jest nieco trudniejsza, zważywszy na wojenne zniszczenia i powojenne przebudowy, ale znajduje coraz więcej wielbicieli, mimo oczywistego braku takiej jedności miejsca i czasu, jak w przypadku powieści Joyce’a.

Wprawdzie nie w samym dniu pana Blooma, zaliczyłem kiedyś dublińską trasę. Podobnie w Petersburgu, dane mi było wędrować – z przewodnikiem w ręku – śladami bohaterów Dostojewskiego i Gogola. W Lizbonie – ze znacznie większym trudem – szukałem miejsc opisanych we wspaniałej powieści Jose Saramago – „Rok śmierci Ricarda Reisa”.

Co właściwie osiągamy dzięki takiemu doświadczeniu? Trudno powiedzieć, ponieważ w zderzeniu literackiej fikcji z realną topografią miasta czeka nas niejedna niespodzianka, rozczarowanie, czasem też – olśnienie.

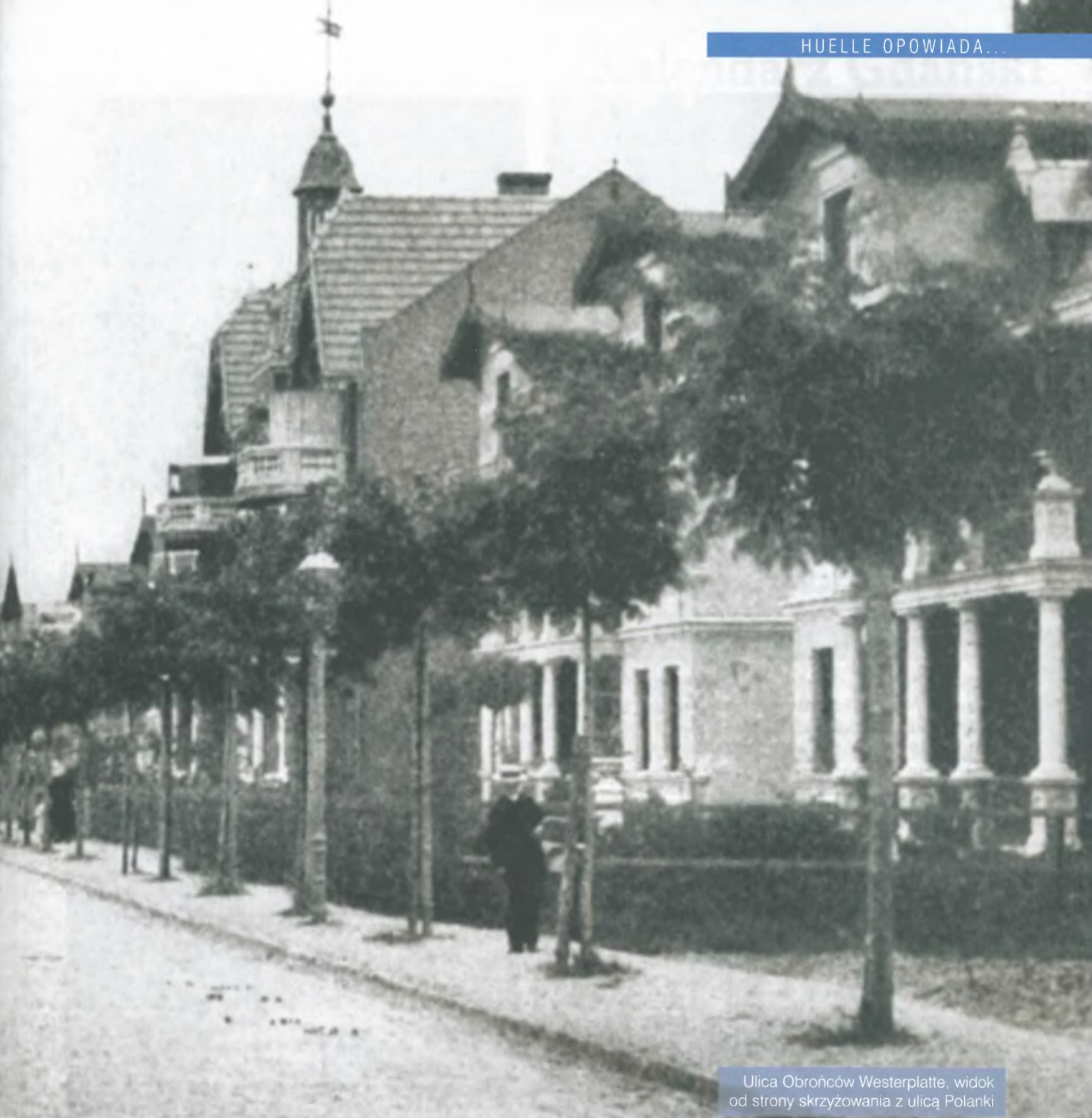
Przeprowadzając się kilka lat temu do Oliwy nie przypuszczałem nawet, że moje spacerunki przez park, czy praktyczne wędrówki na rynek, będą miały w sobie – przynajmniej od czasu do czasu – również coś z charakteru literackiej pielgrzymki. A to za sprawą Rainera Marii Rilkego, który wprawdzie nie napisał żadnego wiersza poświęconego Oliwie, ale był tu dwukrotnie, odwiedzając Gdańsk i Sopot.



FOTO: ZBIORY WŁASNE NM

O tych dwóch pobytach poety napisali ciekawy artykuł Natalia i Waldemar Borzestowscy, który ukazał się w „30 Dniach” w numerze lipcowo-sierpniowym 2001 roku. Tym samym, w którym Grzegorz Fortuna opisał oliwską Georgstrasse – dzisiejszą Obrońców Westerplatte, przy której niedługo potem zamieszkałem. Zbieżność tych faktów wydawała się zupełnie przypadkowa, ale – jak to w życiu bywa – z czasem zaczęła wpływać na moją wyobraźnię.

Inaczej maszeruje się (już swoją?) ulicą, kiedy zna się jej historię, a dzieła stworzone przez jednego z jej mieszkańców oglądało się kiedyś, dawno temu, w muzeum przy ulicy Rzeźnickiej. Rainhold Bahl, malarz i grafik opisany przez Grzegorza Fortunę mieszkał przy Georgstrasse pod numerem 24, do dziś chyba tym samym, blisko rynku, po prawej stronie – spoglądając ku Polan-



Ulica Obrońców Westerplatte, widok od strony skrzyżowania z ulicą Polanki

kom. Bahl urodził się w roku 1869, tak więc kiedy Rilke odwiedzał Oliwę w roku 1898 po raz pierwszy, miał dwadzieścia dziewięć lat. To piękny temat na opowiadanie, gdyby ci dwaj spotkali się – przypadkiem – na przykład na Starym Rynku Oliwskim, przy stoisku kwiaciarki, mówiącej ze swoją sąsiadką po kaszubsku... Rilke miał wówczas dwadzieścia trzy lata i poza wąskim kręgiem czytelników nie był znany. Być może Bahl zwróciłby uwagę na piękną towarzyszkę poety – Lou Andreas – Salome, Muzę i kochankę w jednej osobie.

Ale najważniejsza jest oczywiście altana w Parku Oliwskim. To właśnie tutaj 23 lipca 1898 roku Rilke wspólnie z Lou dokończył wiersz, zamykający symbolicznie jego – pisany dla ukochanej

– „Dziennik florencki”. W przekładzie Natalii Borzestowskiej ostatni wers brzmi tak:

„A ty samotny stoisz ze swym lękiem”.

W filologicznym przekładzie Wandy Markowskiej*:

„A tyś samotny został ze swym lękiem”.

Rilke jest niezwykle trudny dla tłumaczy. Przekonałem się o tym, gdy po raz pierwszy poznawałem jego „Elegie duinejskie” w dwujęzycznym wydaniu i tłumaczeniu Jastruna, jeszcze w czasach studenckiej młodości. Niczego to jednak nie zmienia w wątku altany. Znam jej kształt ze zdjęć sprzed I wojny, z lat trzydziestych, codziennie niemal mijam jej odnowioną w latach dziewięćdziesiątych konstrukcję. Gdyby nie to, że zamieszkałem ►

* Rainer Maria Rilke: Listy, Czytelnik Warszawa 1986

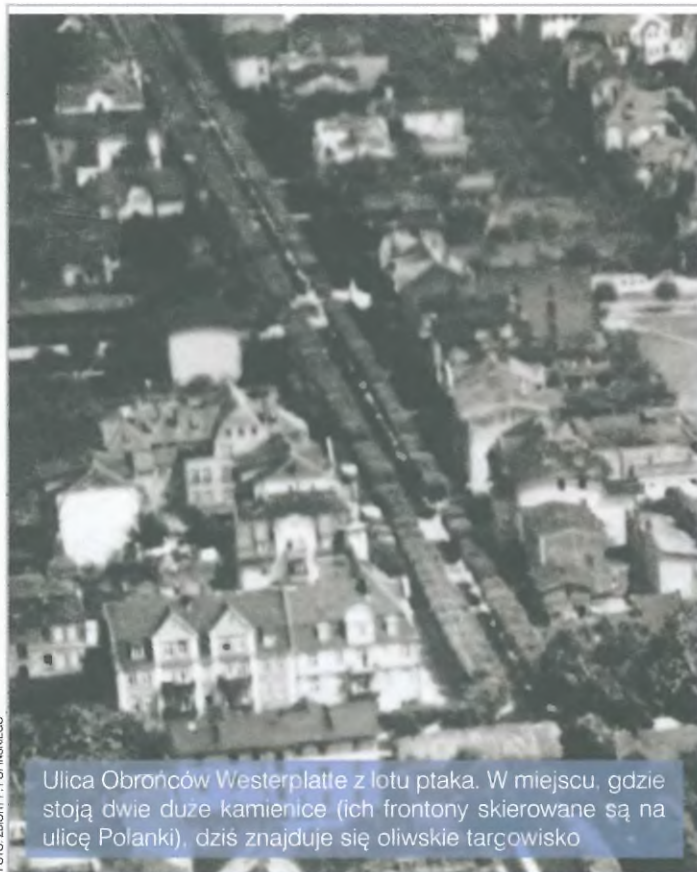


FOTO: ZBORY P. POPIŃSKIEGO

Ulica Obróńców Westerplatte z lotu ptaka. W miejscu, gdzie stoją dwie duże kamienice (ich frontony skierowane są na ulicę Polanki), dziś znajduje się oliwskie targowisko



FOTO: ZBORY P. SCHWEGERA

w Oliwie, gdyby nie to, że pewnego razu przeczytałem artykuł państwa Borzestowskich, gdyby nie to, że zachęcony jego treścią kupiłem w antykwariacie listy Rilkego do Lou i znalazłem tam właśnie oliwskie wątki, gdyby więc nie splot tych wszystkich okoliczności – mijałbym parkową altanę zwyczajnie, ot tak sobie,

przyglądając się turystom i zakochanym, którzy lubią tam pozo-
wać do pamiątkowych zdjęć. Teraz, co najmniej kilka razy w ty-
godniu, mijam to miejsce myśląc zawsze o Rilke, o lęku poety,
który w pierwszej elegii duinejskiej, wiele lat po rozstaniu z Lou,
napisał:

Stara altana w Parku Oliwskim



FOTO: FRANCISZEK MANUSZKA



Obronców Westerplatte, widok od skrzyżowania z ulicą Wita Stwosza w kierunku alei Grunwaldzkiej, ok. 1910

„Czy nie czas już, byśmy kochając oderwali się od przedmiotu miłości”.*

A teraz wyznam rzecz intymną: o ile nie jestem na wakacjach poza domem, każdego lata, w dniu 23 lipca biorę ze sobą tom Rilkego i siadam w parkowej altanie. Czytam „Elegie duinejskie”, arcydzieło arcydzieł poezji lirycznej. Otaczające altanę buki nie są na szczęście drzewami placu (Tranenbaume) z dzisiejszej elegii – są jednak tymi samymi drzewami, które latem 1898 roku słyszały ściszonego głosu poety i pięknej Lou.

Drugi pobyt Rilkego w Oliwie – rok później – jest jeszcze bardziej interesujący, choć poetycko nieudokumentowany. Lou, opuszczając kochanka, wyjechała do Berlina 22 czerwca. Rilke przyjeżdżał z Sopotu do Oliwy wiele razy, spacerował po parku i okolicznych lasach, być może wynajął w jednym z tutejszych pensjonatów – na ostatnie dni swojego pobytu – pokój. Na pewno musiał wiele razy przemierzać Georgstrasse, ponieważ była to wówczas główna ulica łącząca dworzec kolejowy z centrum dzielnicy. Pieszko? Dorożką? Na pewno nie mógł widzieć okien domu, w którym obecnie mieszkam, ponieważ wzniesiono go – jak większość w tej części ulicy – po roku 1900.

Historia zatacza rozmaite kręgi. Przy Obronców Westerplatte pod numerem 34 znajduje się tablica, upamiętniająca Jana Wojnarskiego i pierwszą polską placówkę administracji państwowej w Oliwie, powołaną tu w roku 1945.

Dobrze wiedzieć, że było to właśnie w tym miejscu. Nie miałbym nic przeciw skromnej tabliczce, z jednym wersem Rilkego – dwujęzycznym – przy parkowej altanie. Tym ostatnim wersem, który powstał właśnie tu, w lipcu 1898 roku. „Pisze głównie o miłości i śmierci” – relacjonował Tadeusz Rittner, autor pierwszej polskojęzycznej wzmianki o Rilke, w krakowskim „Czasie” z 25 lipca 1903 roku. Parkowe otoczenie, bliskość katedry i cmentarza sprzyjają takiej właśnie refleksji. O czym donoszę z ulicy Obronców Westerplatte, skąd widać szczyty drzew oliwskiego parku. ■

* Tłumaczenie Mieczysława Jastruna

Kalendarz Gdański 2010

Solidarność



Cud „Solidarności” mógł się wydarzyć dlatego, że harmonijnie spłotyły się i współgrały ze sobą – odwaga z rozumą, determinacja z mądrością, braterstwo z poświęceniem, upór z wyobraźnią.

Zaczęło się w Gdańsku, w Trójmieście, a dokonali tego konkretni ludzie.

Im właśnie, ludziom Sierpnia, należy się hołd za to, że pewnym krokiem wstąpili na drogę, wiodącą ku wolnej Polsce.

Polecam Państwa uwagę **KALENDARZ GDAŃSKI 2010**,

w którym próbuję przypomnieć **Gdańskiego Sierpnia historię spersonalizowaną**. Ukazać ją poprzez tych, którzy ją współtworzyli, dając świadectwo mądrości i odwagi, pokonując nieufność, niepewność i zwykły lęk.

Pragnę przywołać, chociaż niektóre sylwetki bohaterów naszej historii. Pokolenia, które tak walnie przybliżyło ziszczenie się marzeń tylu generacji: polską niepodległość. **Ludzi Sierpnia roku 1980.**

Polecam, Tomasz Wołek



Informujemy, że **KALENDARZ GDAŃSKI 2010** jest do nabycia w siedzibie Fundacji Gdańskiej ul. Szeroka 121/122 w cenie 55 zł od 10 grudnia br. od poniedziałku do piątku w godzinach 9.00-17.00 oraz wybranych gdańskich księgarniach (adresy znajdują się na www.fundacijagdanska.pl)

Było dwóch Franciszków Guzińskich

Po opublikowaniu w ostatnim numerze „30 Dni” tekstu Waldemara Borzestowskiego, w którym przybliży on postać Franciszka Guzińskiego, pracownika Poczty Polskiej w Wolnym Mieście, otrzymaliśmy list od pana Wiesława Ostrowskiego. Przytaczamy go w całości:

„Jako stały czytelnik Waszego ciekawego pisma, z zainteresowaniem zabrałem się do przeglądania nowego numeru 4-5 (lipiec-październik). Już spis treści wzbudził moją ciekawość – w dziale »Ludzie i wojna« widniał tytuł: »Pocztylion Franciszek Guziński«. Jako, że w mojej rodzinie zapisana jest pamięć o Franciszku Guzińskim, bracie mojej Matki i przedwojen-

nym działaczu Polonii Gdańskiej, nie mogłem nie zacząć od lektury artykułu Pana Waldemara Borzestowskiego.

Wiedziałem, że mój wuj nie był pocztylionem, a pierwsze zdjęcie upewniło mnie, że to nie o nim jest ten artykuł. Ale... odwracam kartkę i ze zdumieniem widzę mojego wuja (rzeczywiście, pierwszy z lewej jak głosi podpis pod zdjęciem). Takie zdjęcie znajduje się w moim domowym archiwum i na jego odwrocie znajduje się informacja mojej Matki: »Siedzą: Franciszek Guziński, Erazm Czarnecki, J. Czyżewski, stoi Ogryczak, Wesółowski. Depozyt Wandy Ostrowskiej«. Podpis pod zdjęciem w Waszym piśmie odaje więc tylko część prawdy – na zdjęciu



Franciszek Guziński

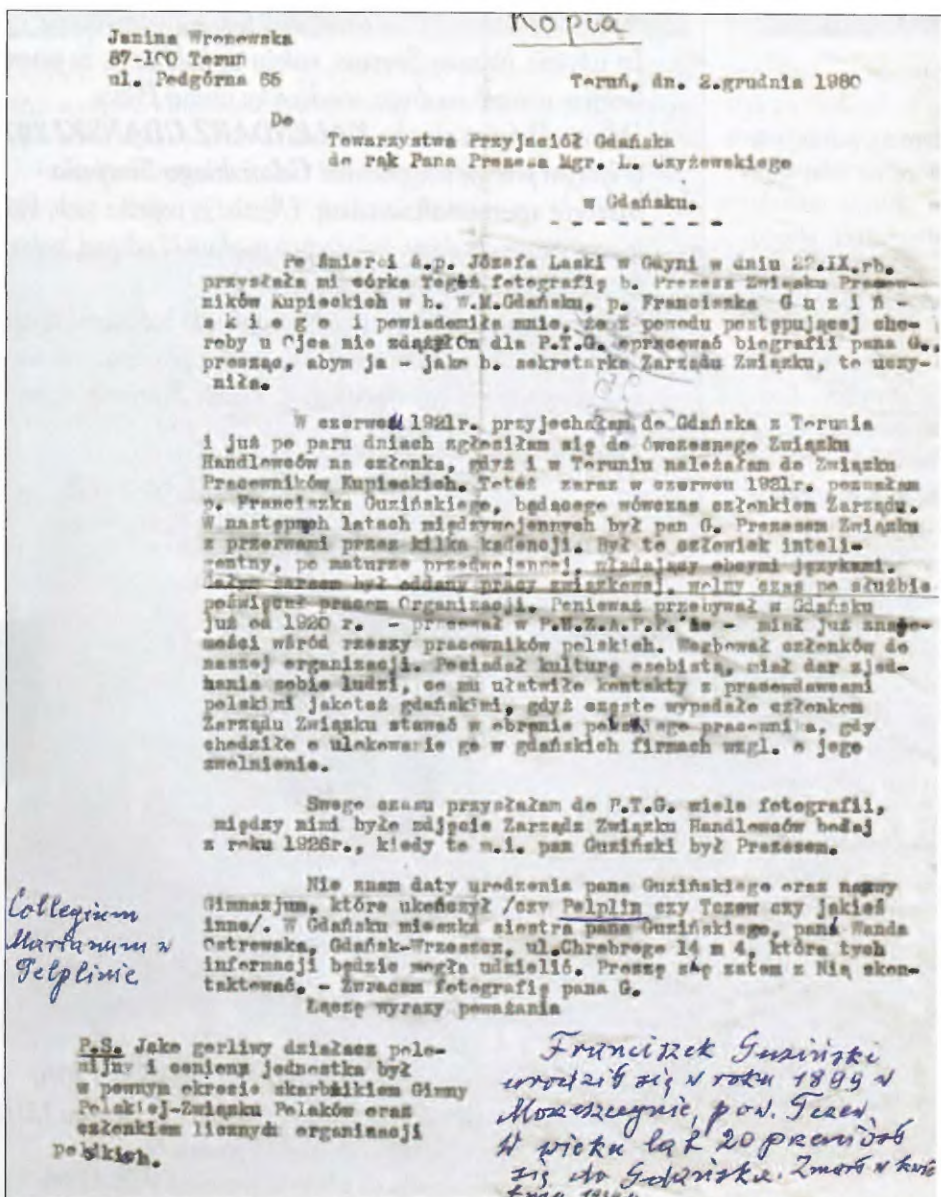
znajduje się nie ten Franciszek Guziński, który jest bohaterem artykułu Pana Waldemara Borzestowskiego.

Nadmieniam, że jestem w posiadaniu innych zdjęć z Franciszkiem Guzińskim, moim wujem, z których wynika między innymi, że był także przewodniczącym Związku Pracowników Kupieckich. Zdjęcia te, o ile pamiętam, były wypożyczane przez moją Matkę Wandę Ostrowską, z domu Guzińską, w latach siedemdziesiątych na wystawę upamiętniającą działalność Polonii Gdańskiej.

Mój wuj Franciszek Guziński urodził się 9 marca 1899 roku w Morzeszczynie w powiecie tczewskim. Do gimnazjum uczęszczał w Pelplinie (Collegium Marianum). Mając dwadzieścia lat przeniósł się do Gdańska. Zmarł w roku 1939”.

Waldemar Borzestowski, autor tekstu o pocztylionie Franciszku Guzińskim wyjaśnia (również w liście do pana Wiesława Ostrowskiego), że podstawowym powodem „połączenia” dwóch postaci w jedną była – wydawać by się mogło – zupełnie nieprawdopodobna zbieżność imienia i nazwiska. Borzestowski pisze o swoich zamiarach:

„Chciałem, opisując jego [pocztyliona Guzińskiego] losy, złożyć hołd całej Polonii Gdańskiej, wszystkim tym ludziom, którzy z takim oddaniem służyli ojczyźnie w dziesiątkach większych i mniejszych organizacji skupiających Polaków w Wolnym Mieście. Większość z nich została zamordowana już w pierwszych dniach wojny. Ich imiona i nazwiska zacierają czas, a przecież byli czyimiś ojcami, braćmi, wujami. Oczywiście, nie miałem pojęcia, że w tym samym czasie, bo do 1939 roku, działał w Gdańsku inny Franciszek Guziński. Gdybym o tym wiedział, ostrożniej podszedłbym do źródeł dotyczących czasów Wolnego Miasta. Dla



Klasztor w Żukowie. Wycieczka Związku Handlowców do Łapina, 12.8.1929. Franciszek Guziński stoi obok księdza (w jasnym garniturze)

mnie było logiczne, że skoro mój dziadek występuje w relacjach dotyczących 1939 roku i dalszych, to z pewnością również jest bohaterem wszystkich wydarzeń sprzed wybuchu wojny, nawet wówczas, gdy nie wspominał o tym w swoich życiorysach. Po prostu, sądziłem, że o czymś zapomniał lub nie dotarły do mnie wszystkie informacje. Zresztą, liczba organizacji, w jakich uczestniczyli żyjący w Gdańsku Polacy, jest ogromna, w dodatku różnie zapisywana w rozmaitych publikacjach”.

Waldemar Borzestowski zastanawia się też, czy nie jest tak, że „temu swoistemu przemieszeniu biografii obu Franciszków Guzińskich” uległ nie tylko on sam, ale „również niemiecka policja w 1939 roku”. Franciszek Guziński (pocztylion) wspominał, „że podczas pobytu w Stuthofie został pewnego dnia zabrany ze swego baraku i osadzony w tzw. izolacie, a prowadzący go strażnik miał powiedzieć: *Szykuj się, Franc, na śmierć. W małym pomieszczeniu przesiedział kilkanaście godzin, podczas których całkowicie osiwiał. Nazajutrz, podczas krótkiego przesłuchania wyjaśniono mu, że zaszła pomyłka. Wzięto go za kogoś innego. Czy tym kimś mógł być wuj Pana Ostrowskiego, tego prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy? Ponieważ jednak należał do Zarządu Gminy, mógł zajmować najwyższe miejsca na tak zwanej »czarnej liście«. Być może Gestapo początkowo przeoczyło jego śmierć w 1939 roku? To oczywiście tylko przypuszczenia” – stwierdza Waldemar Borzestowski.*

Pan Wiesław Ostrowski przesłał nam kilka zdjęć dotyczących jego wuja Franciszka Guzińskiego (część publikujemy obok). Przesłał nam też kopię listu wysłanego przez

Zarząd Związku Pracowników Kupieckich w Wolnym Mieście Gdańsku. Franciszek Guziński siedzi drugi od lewej



panią Janiną Wronowską do Towarzystwa Przyjaciół Gdańska. „Są to – pisze w kolejnym liście – jedyne materiały w moim posiadaniu, które ilustrują działalność mojego wuja Franciszka Guzińskiego. Nie chciałbym przekazywać informacji o jego działalności w Wolnym Mieście Gdańsku znanych mi tylko z ustnych przekazów nieżyjących już osób (głównie jego siostr i braci) i na które nie mam potwierdzenia w dokumentach”.

Dziękujemy serdecznie Panu Wiesławowi Ostrowskiemu za zdjęcia i informacje.

Działacze Polonii Gdańskiej. Franciszek Guziński stoi w pierwszym rzędzie drugi z prawej

A wszystkim, którzy interesują się dziejami Polonii Gdańskiej, zwracamy uwagę, że w jej życiu i działalności zapisało się dwóch panów o nazwisku Franciszek Guziński. ■

Przewodniczący Franciszek Guziński siedzi pośrodku. Po lewej stronie od niego siedzą: pani Skrzypcza, Szymanowski, Zaworski (?). Po prawej: Jagielski, Grimsza, osoba nierozpoznana, ostatni siedzi woźny

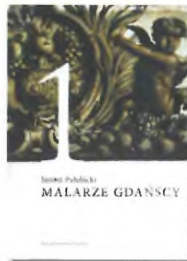


Tworzyli sztukę w Gdańsku

Praca ta powstała w wyniku prawie czterdziestoletnich poszukiwań informacji o nowożytnych artystach, które Janusz Pałubicki prowadził w Archiwum Państwowym w Gdańsku. W tym celu przejrzał ponad 120 tysięcy stron rękopisów w językach niemieckim lub łacińskim. W książce została udostępniona ta część znalezionych materiałów, które dotyczą profesji artystycznych, a więc malarzy, szkła-ryzy, rytowników i rysowników.

Przestudiowane materiały pochodzą głównie z lat 1550-1814. Dotychczasowe badania sztuki gdańskiej doprowadziły do poznania około stu kilkudziesięciu nazwisk działających wtedy artystów. Publikacja Pałubickiego zawiera ponad 950 haseł, które odnoszą się do artystów działających w tym okresie, dzięki czemu w istotny sposób poszerzony zostaje obraz największego w Polsce i w północno-wschodniej Europie środowiska artystycznego. W odniesieniu do znanych już postaci, praca uzupełnia naszą wiedzę o ich życiu lub twórczości. Kilkadziesiąt haseł dotyczy artystów nieobecnych w Gdańsku, jednak wiadomości o nich znalazły się w gdańskim archiwum.

Zamieszczone w publikacji odpisy z materiałów źródłowych oraz ich omówienia w istotny sposób poszerzają wiedzę o udziale gdańskiego środowiska malarzy w nowożytnych dziejach sztuki w Polsce. Książka pozwala na nowe spojrzenie

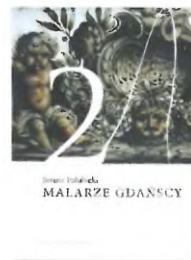


na rolę malarzy, którzy stale przebywali w Gdańsku, a również tych, którzy wędrowali do Gdańska lub przez Gdańsk do wielu miast północnej Europy. Wielość i artystyczna różnorodność obecnych w mieście postaci dobitnie wyjaśnia, jaką rangę osiągnęła gdańska sztuka.

Przyjęta metoda prezentacji materiałów źródłowych powinna stanowić udogodnienie dla wszystkich badaczy gdańskiej sztuki i kultury. Zazwyczaj w wydaniach materiałów źródłowych wypisy ułożone są według miejsca ich pochodzenia (w materiałach archiwalnych). W tej pracy zestawiono te materiały według osób, których

dotyczą informacje źródłowe, a także według stanu danego środowiska (tj. malarzy, szkła-ryzy, rytowników lub rysowników).

W tomie pierwszym zamieszczono informacje dotyczące środowiska artystycznego, takie, które nie dotyczą poszczególnych artystów, lecz danego środowiska czy wybranej profesji artystycznej. Tom drugi jest słownikiem zawierającym hasła o artystach (tylko 149 spośród nich było dotąd zarejestrowanych w słownikach artystów). W każdym haśle znajdują się wyłącznie te wypisy z materiałów źródłowych, które



bezpośrednio dotyczą danego artysty. Jest też omówienie znaczenia tych źródeł w świetle nie tylko ich dosłownego sensu, ale także w świetle wiedzy autora o całości prezentowanych źródeł.

Wydawcą dwutomowego opracowania „Malarze gdańscy” jest Muzeum Narodowe w Gdańsku.

Sto lat Opery Leśnej

Okladkowa nota dość wyczerpująco informuje nas, o czym jest ta książka:

„»Od huzarów śmierci do Eltona Johna« to pasjonująca opowieść o dziejach najsłynniejszego polskiego amfiteatru o »kryształowej akustyce«, przepięknie położonego w małej, cienistej dolinie wśród leśnych wzgórz. Autor zaprasza czytelników w tę podróż przez 100 lat historii Opery Leśnej, odsłaniając przed nimi nieznane często do tej pory fakty, tajemnice, sensacje oraz najciekawsze epizody z barwnej kroniki wydarzeń leśnej sceny. Przypomina monumentalne realizacje operowe, liczne koncerty, przeglądy i festiwale.

100 lat Opery Leśnej to historia, rozpoczynająca się od idei plenerowej sceny jako letniej atrakcji Ostseebad Zoppot, poprzez »świątynię germańskiego ducha«, w której niepodzielnie panowały inscenizacje wagne-



rowskich oper i do której co roku »pielgrzymowały« tysiące nie tylko niemieckich melomanów, poprzez powojenne »oswajanie« legendy i mitu Waldoper dla potrzeb nowej rzeczywistości, aż po coroczne festiwalowe koncerty polskich i zagranicznych gwiazd

muzycznej sceny. Bogato ilustrowana książka, zawierająca unikalne materiały archiwalne (zdjęcia, plakaty, bilety, programy itp.) stanowi nie tylko istotną kopalnię wiedzy na temat unikalnego obiektu, który miliony widzów (nie tylko w Polsce) znają z licznych transmisji telewizyjnych, ale i wyjątkowo wciągające »czytadło«, które usatysfakcjonuje każdego czytelnika».

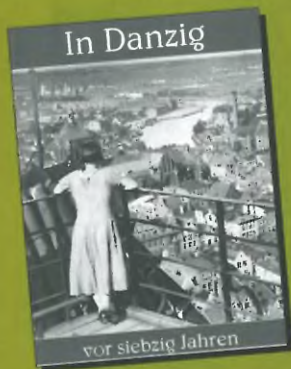
Tyle wydawca o swojej książce. Dodajmy jeszcze, że wstęp do tego tomu napisał Paweł Huelle, który udostępnił też fragment swojej niepublikowanej powieści „Piękna Greta”, fragment związany również z Operą Leśną.

Historia Opery Leśnej trafia do czytelników dzięki Gdańskiemu Kantorowi Wydawniczemu Krzysztofa Gryndera.



Lider Platformy Obywatelskiej przekonuje, że doświadczenie pokolenia Solidarności jest prawdziwym fundamentem, na którym budować można lepszą przyszłość.

• Cena 15 zł •



Nastrojowy album, ukazujący te fragmenty miasta, które zniknęły bezpowrotnie lub zmieniły się w zasadniczy sposób.

Podpisy w języku niemieckim.

• Cena 14 zł •



Najbogatszy herbarz gdańszczan. Na ponad siedmuset stronach autor przedstawia herby 341 gdańskich rodów.

Tekst w języku polskim i niemieckim.

• Cena 45 zł •

Jeszcze o rzezi 1308 roku

Ta publikacja jest pokłosiem sesji naukowej, która miała miejsce przed rokiem w Muzeum Historycznym Miasta Gdańska. Jest też trzecim tomem studiów i materiałów, które wydaje muzeum.

Przypomnijmy, jakie tematy były prezentowane na wspomnianej sesji, poświęconej rzezi Gdańska z 1308 roku. Profesor Henryk Samsonowicz mówił o sytuacji Europy środkowo-wschodniej na przełomie XIII i XIV wieku, a Zofia Maciakowska o położeniu miasta lubeckiego w Gdańsku. Udo Arnold przedstawił pozycję i dzia-

łalność wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego pod koniec XIII i na początku XIV wieku, a Edward Rymar stosunki między Brandenburgią i Pomorzem



Gdańskim. Politykę Władysława Łokietka wobec Pomorza analizował Jerzy Sperka, wydarzenia roku 1308 w Gdańsku i okolicach rekonstruował profesor Błażej Śliwiński. Joachim

Zdrenka mówił o odrodzeniu miasta po tych wydarzeniach, a Jan Trupinda o znakach władzy zakonu w Prusach. Profesor Edmund Kizik przytaczał opinie gdańskich i polskich kronikarzy i historyków na temat wydarzeń lat 1308-1309, a Peter Olivaer Loew zastanawiał się: „bestialski mnich czy waleczny rycerz?”, jaka jest lokalna pamięć o „rzezi gdańskiej”? Wioleta Pieńkowska-Kmiecik i Izabela Jastrzebska ukazywały, jak rzeź Gdańska zaznaczyła się w gdańskiej sztuce XX wieku, a Aleksandra Pudło wskazywała na ślady tych wydarzeń, które pozostały na cmentarzysku pod Halą Tar-gową.

Antologia na dwudziestolecie

Ta antologia wierszy gdańskich poetów ma uczcić jubileusz dwudziestolecia istnienia Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

„Antologia środowiskowa – pisze Krzysztof Kuczkowski, który dokonał wyboru publikowanych utworów – ma obowiązek uhonorowania wszystkich twórców”. Kuczkowski pisze też, czym kierował się wybierając wiersze do tego zbioru: „Z pomocą przyszły mi same wiersze, wyraźnie eksponujące dwa ciekawe wątki. Pierwszy wiąże się z faktem, że – mówiąc najkrócej – gdańscy poeci nie

pochodzą z Gdańska, a jeżeli nawet urodzili się tutaj, to są gdańszczanami w pierwszym pokoleniu. Jedni zatem po la-



tach odkrywają swoją plemienną tożsamość, odnajdując ją w odległych nieraz – odległych również kulturowo – krainach, inni powracają do kraju lat dziecińczych. Wszystkie te odkrycia i powroty nasycają

wiersze gdańszczan różnicowanym kolorytem, krajobrazami kresowymi, kujawskimi, wielkopolskimi czy nawet krymskimi. Wybierając wiersze do antologii starałem się nie pomijać tego bogactwa. Drugi wątek, to liczne przywołania w tytułach, mottach i w samych tekstach poetyckich autorytetów, a także – co jest już trudniejsze do zaprezentowania w antologii – dość czytelne powinowactwa stylistyczne”.

W antologii „Podróż do Gdańska” zamieszczono ponad 150 wierszy. Zaprezentowano utwory trzydziestu czterech poetów. Wydawcą jest Maszoperia Literacka.



Wędrowka po przedwojennym Wrzeszczu ukazuje fenomen jego własnej tożsamości prawie osobnego miasta, które jednak w istotny sposób postaje „gdańskie”.

• Cena 42 zł •



Oliwa jest dziś pozornie podobna do tej przedwojennej. Oglądając ten album uświadamiamy sobie, że jednak jest to złudzenie, że wchodzimy w świat odległy i budzący nostalgię.

• Cena 42 zł •



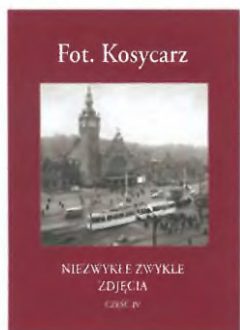
W najnowszym 97/98. numerze „Przeglądu Politycznego”:

- Claudio Magris
Wypędzić wojnę, budować pokój
(Mowa z okazji wręczenia Pokojowej Nagrody Księgarzy Niemieckich 2009)
- Stephane Courtois, Krzysztof Pomian
1989 - rozpad bloku sowieckiego: dlaczego?
- Jan Tomkowski
Pracownia poety. Norwid, Valery

Zapraszamy na: www.przegladpolityczny.pl

Fot. Kosycarz po raz czwarty

Tramwaj z wagonem barowym (!) kursujący na trasie Gdańsk–Sopot, urodzone w 1961 roku, pierwsze na Pomorzu, ale już zapomniane czworaczki, rajd Monte Carlo na Długim Targu, zlikwidowana służa ze statkiem bocznokołowcem między Wisłą Śmiałą i Martwą w Pleniewie. Pokazy mody, klimaty starych kawiarni i restauracji, życie codzienne, budowa kiedyś nowoczesnych, dzisiaj już postarzanych domów i osiedli. To tylko



niektóre z tematów, pojawiających się na ponad trzystu fotografiach Zbigniewa i Macieja Kosycarzy z lat 1945–2009, które znajdujemy w kolejnym albumie „Fot. Kosycarz. Niezwykłe zwykłe zdjęcia. Część IV”. Dzięki nim wędrujemy przez powojenną historię i ożywiamy wspomnienia.

Poprzednie części albumu spodobały się czytelnikom. Pewnie dlatego, że wielu z nich odnajduje na zdjęciach odniesienia do własnej przeszłości. Młodzi czytelnicy mogą zobaczyć, jak żyło się kilkanaście i kilkadziesiąt lat temu. Całkiem spore grono osób rozpoznało na fotografiach samych siebie, czasem w kolejce do sklepu, czasem na zabawie tanecznej, przy starganiu na Jarmarku Dominikańskim lub zwyczajnie na spacerze na Długim Targu.

Przemieszczając się przez lata i miejsca, których wiele przypominano na 160 stronach albumu, coraz mocniej wchodzimy w Gdańsk, czasem jakby bardziej odległy, a czasem serdecznie bliiski.

Album wydany został przez Kosycarz Foto Press / KFP.

Nad morzem w Jelitkowie

Waldemar Nocny zdążył nas już przyzwyczaić do sposobu, w jaki w swoich książkach przedstawia kolejne dzielnice i fragmenty miasta. Tym razem przybliży nam Jelitkowo.

W pierwszym, krótkim rozdziale opisuje warunki przyrodnicze tej nadmorskiej osady, w drugim podejmuje próbę odtworzenia historii Jelitkowa na tle wydarzeń politycznych, które toczyły się w Gdańsku i Oli-



wie. W trzecim mówi o tworzeniu się kąpieliska, a później dość znanego kurortu. Nie zapomina o powojennym jego upadku i bliskiej współczesności, kiedy powstaje tu elitarna dzielnica dla ludzi zamożnych i aktywnych.

Opowiadania z pierwszej połowy

Moja książka jest książką o dzisiejszym pokoleniu czterdziesto- i pięćdziesięciolatków, którym dzieciństwo i młodość przyszło przeżyć w zupełnie innej epoce, a w dojrzałe życie wejść w ustroju, którego nie znali i musieli się dopiero uczyć. I o pokoleniu ich dzieci. To przede wszystkim dla nich jest ta książka, rodziców i ich często już dorosłych dzieci, choć mam nadzieję, że może zainteresować każdego, bo, w istocie, niewiele się, bez względu na wiek, od siebie różni.

Ta książka uświadamia, jak różne były te dwa światy. Pierwszy szary, niekiedy ponury, ale we wspomnieniach zawsze piękny, bo lata dzieciństwa i młodości zostawiają tylko piękne wspomnienia. Wtedy rodzą się pierwsze uczucia, nawiązują przyjaźnie, rodzi się pierwsza miłość. I te opowiadania są wła-

śnie o tych uczuciach i ich konsekwencjach, sięgających dojrzałego wieku.

Pierwsze dwa opowiadania to zapamiętany przeze mnie tamten czas, jego atmosfera, to na tym tle toczą się losy bohaterów tych opowiadań. Rodzi się pierwsza miłość, miłość syna do ojca, rodzi się pierwsza prawdziwa przyjaźń, zaskakująca dla samego bohatera.

Trzecie, najdłuższe, spina tamtą przeszłość z teraźniejszością. Współczesny świat, opleciony siecią Internetu pełnego społecznościowych portali i internetowych komunikatorów, tak inny od tego z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, paradoksalnie i nieoczekiwanie dla bohaterów, przywołuje przeszłość i zapomniane wydarzenia. To dzięki niemu się odnajdują i zmuszeni zostają do zastanowienia się nad wydarzeniami z młodości. I do rozwiązania zagadki, która przez trzydzieści lat nie dawała im spokoju. Aż

W kolejnym fragmencie swojej pracy próbuje zapisać historię życia i działalności artystycznej osób związanych z Jelitkowem. Dalej przedstawia życie religijne osady i dzielnicy. Osobny rozdział poświęca też dziejom zespołu młynów nad Potokiem Oliwskim, zwanemu Konradshammer.

Uzupełnieniem pracy są liczne aneksy (wypisy ze wspomnień i dzieł literackich dotyczące Jelitkowa; postaci związane z tym osiedlem; jelitkowskie ulice). Wydawcą publikacji jest „Bernardinum” z Pelplina.

w końcu, ku ich zaskoczeniu, tamten świat zaczyna dotykać losów ich dzieci. To opowieść o tym, jak długo czasem trzeba uczyć się miłości i jak nieoczekiwane mogą być jej skutki.



Ale to też książka o Gdyni, Gdyni z mojego dzieciństwa i młodości, ale też tej współczesnej, a świat jej bohaterów rozrasta się od kilku ulic, by, w końcu, objąć całe Trójmiasto. Ale te wydarzenia mogłyby rozgrywać się również w każdym innym mieście Polski, bo w każdym dorastają dzieci, wznoszą się szkoły a mieszkańcy pochylają się nad komputerową klawiaturą.

Marek Kotlarz

Nowy kwartalnik

W Gdyni rozpoczęto wydawanie nowego kwartalnika artystycznego. Nadano mu tytuł „Bliza”. Redaktorem naczelnym jest Paweł Huelle.

„Głównym nurtem naszego zainteresowania jest i będzie współczesność” – czytamy we wstępnej nocie redakcyjnej. „Gdynia – jako najbardziej udane dziecko II RP – wprost do tego zachęca. Dlatego na łamach pierwszego numeru znaj-

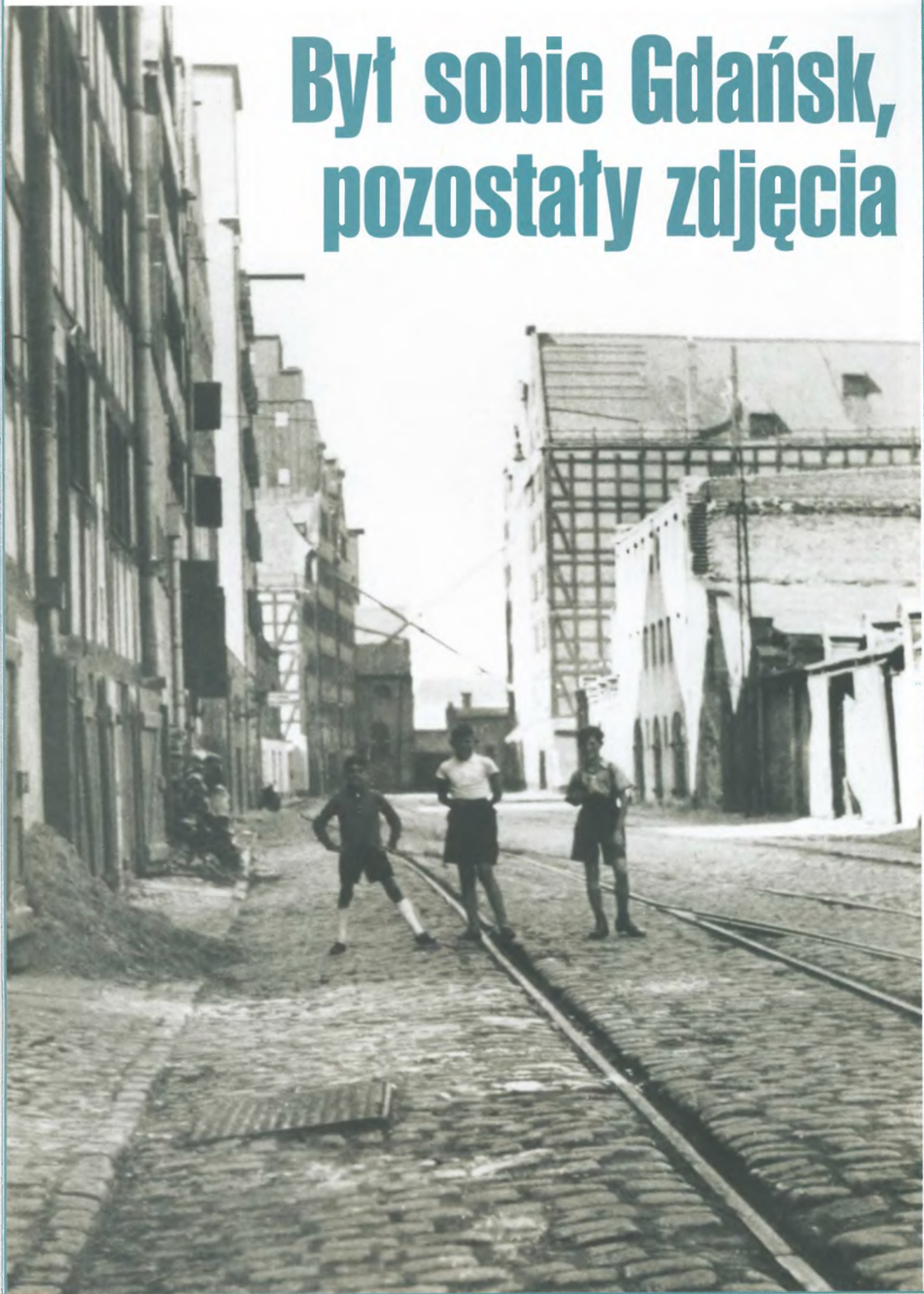


dą Państwo teksty otwierające dyskusję na temat polskiej nowoczesności”. Redaktorzy chcą „wpisać się w pejzaż polskich przemian jako uczestnicy i czujni obserwatorzy. Towarzy-

szyc najważniejszym wydarzeniom kulturalnym miasta i je współtworzyć”.

„Bliza» oznacza latarnię morską. Nawiązując do gdyńskiej, pomorskiej tradycji, pragniemy, aby światło tej latarni było widoczne w Państwa horyzoncie. W przeżywaniu sztuki, refleksji nad naszym społecznym i narodowym losem. Mamy nadzieję na wiele wspólnych spotkań, wymianę myśli, dyskusji, które wzbogacą nasze życie” – pisze redakcja do czytelników.

Był sobie Gdańsk, pozostały zdjęcia





Na poprzedniej stronie: Na ulicy Chmielnej na Wyspie Spichrzów, lata trzydzieste XX wieku
Powyżej: Widok z Grodziska na Stocznię Schichaua i Wielką Aleję. Po prawej widoczne zabudowania tzw. starej dyrekcji. Koniec lat trzydziestych XX wieku



FOTO ZBIORY KRZYSZTOFA GRONDERA



Wystawy sklepowe w kamienicach przy ulicy Długiej, początek XX wieku



FOTO: THORNY KIEZYSTOJA GRYNDEKA

FOTO: ZBIORY KRZYSZTOFA GRYNDEFA



Powyżej: Widok w prześwicie Krowiej Bramy, widoczny Krowi Most i zabudowa na Wyspie Spichrzów, około 1920

Na prawo: Samochody na Targu Węglowym. Za Wieżą Więzienną widoczny fragment ulicy Bogusławskiego, lata trzydzieste XX wieku



FOTO ZBIORY KRZYSZTOFA GRYNDEIRA



Ulica Stągiewna na Wyspie Spichrzów. Widok od skrzyżowania z ulicą Chmielną, ok. 1940



FOTO ZBIORY KAZISZTOFA GRYNIEHA



Kamienice przy ulicy Grunwaldzkiej we Wrzeszczu, na odcinku prowadzącym od Rynku w kierunku Oliwy, ok. 1905



30dni Archiwum

„30 Dni” – dwumiesięcznik, pomagający lepiej poznać i bardziej pokochać Gdańsk, Sopot, Gdynię i Pomorze Gdańskie



Numery archiwalne „30 Dni” do nabycia w siedzibie redakcji • Gdańsk, ul. Szeroka 121/122